

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 23; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz potitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zhr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zhr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zhr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zhr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Poznaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

KOKIETERYA.



Już protoplastce naszej—Ewie w raju, tradycya w historii o jabłku i Adamie, zarzuca kokieteryę, zalotność kobiecą.

Niema też chyba na świecie kobiety bez kokieteryi, bez chęci podobania się, gdyż właściwość ta jest nam wrodzoną i począwszy od maleńkich dziewczątek, mimowiednie strojących pocieszno-zalotne minki, za które chciałoby się zjeść je w pocałunkach, skończywszy na poważnych wiekiem matronach wywierających swem miłem, ujmującym obejściem urok, czyniący je sympatycznymi, każda kobieta posiada pewną dozę kokieteryi.

Nosimy miano „płci pięknej,” które samo przez się obowiązuje kobietę być miłem dla oka zjawiskiem, a czyni wstrętą niedbałość naszą w tym kierunku. Czy zatem strojne i eleganckie przedstawicielki salonów, czy najuboższe dziewczęta z ludu, wszystkie pragną posiadać to miano i oddziaływać niem na swe otoczenie, podnosząc wdzięki swoje strojem i sztuką podobania się.

Fenelon utrzymywał, że „prawdziwy wdzięk kobiecy nie polega na zalotności i wyszukanym stroju, lecz na ochędóztwie, proporeyi i przystojności.” Kobieta, strojąca się dla samej siebie, mająca na względzie swój estetyczny wygląd, polegający na wyszukanej czystości i porządku, na harmonii barw i skromności w gustowności stroju—będzie zawsze miłem dla oka zjawiskiem, gdy przeciwnie wykraczające granice tego obowiązku kobiety główny cel życia swego wkładające w chęć i sztukę podobania się, w strój podnoszący ich wdzięki, jacykami pragną zdobyć jak największą liczbę wielbicieli, starając się

czarować ich i wabić każdym ruchem swej postaci, obrachowanym na efekt, każdym spojrzeniem, słowem lub uśmiechem, takie przedstawicielki niewieściego rodu czynią wrażenie pustych lalek, błyskotliwych motyli w błyszczczeniu tylko znajdujących przyjemność.

Z podobną kokieteryą łączy się zawsze lekomyślność, ponieważ kobiety oddane tylko swoim strojom i wdziękowi się do mężczyzn, mają zazwyczaj serca puste, niezdolne do prawdziwej miłości i poświęcenia.

Mniej je obchodzą obowiązki żony, matki, pani domu, niż kwestya nowej sukni, modnego okrycia lub kapelusza, nad kombinacjami których trawia długie godziny, biegając po sklepach i magazynach z wytrwałością godną lepszej sprawy. Obojętne na sprawy domowego ogniska swego, całą duszą oddają się życiu światowemu, balom i różnym występom publicznym, na których zajaśnieć w całym blasku swej urody i wyszukanego stroju, zaćmić nim towarzyszyki i wzbudzić w nich zazdrość—jest ich najwyższą rozkoszą!

Flirt i błyszczenie stają się potrzebą ich życia, ich namiętnością, dla której wszystko gotowe poświęcić, a gdy młodość i uroda z postępem lat znikają, gdy nielitościwy zab czasu czyni coraz większe spustoszenia w ich powierzchowności, wówczas starają się one wszelkimi siłami sztucznie podtrzymywać przekwitające wdzięki, stając się męczennicami swoich usiłowań. Dziwnego bo też doznajemy uczucia po przekroczeniu czterdziestki, fatalnej liczby naszego życia, będącej granicą czarów, jakie są udziałem młodości. Nasze wewnętrzne „ja,” nasze upodobania, pragnienia i siły fizyczne, są jeszcze te same, co w latach dwudziestu kilku, a tylko powierzchowność nasza ulega zmianie, nieznacznej dla nas, przywykłych widzieć codziennie postać swą odbitą w lustrze i niemożących pogodzić się z tem, że nieubłagany

czas wyrwał już swoje złośliwe piętno, że starzejemy się z dnia na dzień.

Biedne, godne politowania istoty, nie uznające tej konieczności życia, zamęczają się, krepując zepsutą wiekiem figurę, nadając sztuczną świeżość twarzy i sztuczny blask oczom, a siwizną swoją kryjąc troskliwie pod sztucznymi włosami lub wstrętne czernidłem. Gdyby jednak zechciały spojrzeć krytycznym okiem na swoją postać, tak śmiesznie zeszepeconą sztucznym odmładzaniem i porównały ją z naturalnym wdziękiem, jaki przecież posiada i starość, wzbudzająca cześć i poszanowanie z pewnością zrozumiałaby, iż najrozsądniej poddać się prawom natury w myśl staropolskiego poety:

Niechaj się stara, jako chce ubierze,
Najprzystojniejszy jej ubiór—pacierze.

Wielki błąd na tym punkcie popełniają matki, strojące w dzieciństwie już swoje córki, jak laleczki. Dziewczątka bowiem takie, zwłaszcza w mieście wznoszą się z tem przekonaniem, że strój i uroda są dla kobiety główną podstawą życia, ważnymi czynnikami w zdobyciu szczęśliwej przyszłości, że podobać się trzeba koniecznie, by wyjść za mąż, aby zdobyć serce człowieka, który stanie się niewolnikiem ich wdzięków. Co prawda, to i sami mężczyźni zniewalają nas do kokieteryi, goniąc za powierzchownym wdziękiem kobiecym i łatwo wpadając w sidła kokietek, które zwykli otaczać swymi hołdami, pomimo, iż zarzucają im brak wartości moralnej. Im zręczniejszą jest kobieta w swej sztuce podobania się, im lepiej umie działać na zmysły i zarozumiałość naszych „niezwycięzonych,” tem większe na razie ma wśród nich powodzenie, tem pewniejsze zwycięstwo nad skromnymi swymi współzawodnikami, nie przywiązującami żadnej wagi do strojów, hołdów i błyszczenia w świecie. Najwięksi jednak zwolennicy zalotności i błyskotliwego

wdzięku kobiet w życiu zewnętrznym, przy domowym ognisku wymagają od nas cichych cnót rodzinnych i dobrze zrozumianego obowiązk.

Matka-Polka M. R.-S.



Marya Rodziewiczówna.

Joan. VIII, 1--12.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Przez chwilę zdrewniał z wrażenia, twarz mu się skurczyła, zbieleły usta, potem postawił lampę na stolku i pobiegł do mieszkania rządcy i zaczął stukać w okno.

— Co tam? — rozległ się po chwili zaspasany głos.

— Proszę pana! To ja, stróż.

Rządca się zerwał, przyskoczył do okna, otworzył lufcik.

— Co? Pali się?

— Nie, proszę pana, ale u mnie kobieta rodzi...

— Co? Jaka kobieta? Pijanys, szelmo!

— Proszę pana, znalazłem za bramą! Co robić?

— Idź mi do stu dyabłów. Budzi mnie dla takich bredni. Kto ci kazał zbierać po drodze baby rodzące! I do mnie z tem przychodzi! Jakesz sobie to zwlekał, to sam pilnuj! A to mnie huncwot wystraszył!

Lufcik zamknął z passją — i snąc uspokoił żonę, bo po chwili rozmowy zaśmieli się oboje i rządca legł, światło zgasło.

Gedras pozostał bezradny pod oknem. Polajanka rządcy, a potem śmiech, oprzytomniły go.

Prawda, — sam sobie biedy napytał, teraz nie wiedział co robić. Budzić pałacowej gospodyni nie śmiał, więcej kobiet nie było we dworze, on sam pojęcia nie miał, jak ratować położnicę — poszedł do swego domku, ale mu było straszno wejść. Pomyślał, żeby do miasteczka po kobietę skoczyć, ale nie wolno mu było wydalać się w nocy po za obręb obejścia, więc stał na drodze wahający, przerażony, rozglądając się w okół. Wtem posłyszał okół kotłowni ruch, — to palacze rozpoczęli pracę.

Zaspani, zmęczeni raczej, niż wypoczęci parogodzinny snem na ziemi, krzatali się leniwie, ziewając i mrużąc paćerze. Jeden wrzucał polana w czeluść, drugi łupał podpałki. Nawet się nie obejrzeni, gdy stróż stanął we drzwiach.

— Wicie, co mi się przytrafiło? Poratujcie, ludzie! — zawołał. — Słyszę, na szosie ktoś jęczy, wyszedłem — patrzę — kobieta leży. Podniosłem jak drewno, przyniosłem do izby — a ona rodzi.

Palacze na razie zdumieli.

— Któż ona? Jaka?

— Nie wiem, nie znam!

— Eee!... pewnie mechanikowa Józia... — jeden się zaśmiał, a drugi obojętnie dorzucił:

— Rodzi... no to będą chrciny.

Ale ich ten wypadek rozbudził, zajął.

— Po drogach szelmy zlegają, jak suki! — splunął młodszy.

— Nie znana, mówisz, toć mechanikową znasz? Któraż to być może? — rzekł starszy.

— Żadna z fabryki, ni z czeladzi. Mała, czarna, ot tyle — dziecko! Jęczy, że aż mi straszno wejść — i co poradzę. Ja tu ciebie, Wiktor, zastąpię, skocz po jaką babę, ty wiesz gdzie która mieszka, mnie nie wolno odejść.

— Zdurzał ty, — ani myślę! — oburzył się młodszy palacz. — Mam po akuszerki biegać! A toć mnie cała fabryka na pośmiewisko pada, a moja żona, co? To już wtedy do domu i nie zachodź!

— No, to co ja mam robić?

— Idź do rządcy, i melduj.

— Byłem. Wyląjał i przepędził!

— Boś durny! — zdecydował starszy palacz. — Po coś ją brał z drogi. Musi być łajdaczka ostatnia!

— Ja brałby i psa, żeby tak skomlił! Co wiedziałem. A choćbym i wiedział, tobym też sprzątnął, żeby koń nie potratował na drodze. Jakże zostawić? Pijaka na brzeg się zciąga, żeby pod kołami nie był.

— Pijak co innego. Przytrafi się upić najporządniejszemu, a taka...

— Idźcie wy po babę, Antoni! — błagalnie rzekł Gedras. — Dam wam rubla, i babie ile zechce, ale tak nie można bez ratunku człowieka zostawić.

— Jaki to człowiek — tfu! — splunął stary palacz, a młodszy się zaśmiał.

— Gedras, eoś ty bardzo hojny. Może ciebie sumienie gryzie, a ta wiedziała, gdzie, do kogo idzie.

Stróż się zatrząsł.

— Nie kpij, Wiktor. Nie godzi się! Proszę was z duszy — poratujcie.

— Nu, daj rubla, to i tytoniu kupię przy tej okazji i moją starą sprowadzę. Dasz jej rubla, ona znająca kobieta!

— Dam! Ot macie! — odparł Gedras, wydobyt woreczek z pieniędzmi.

Odliczył srebrem dwa ruble, palacz je starannie odrachował, schował, nie kwapiąc się, zbierał do odejścia, szukając czapki, podpasując kozuch, dając Wiktorowi rozporządzenia co do kranów i wentyli.

— Idźcie już! — nalegał Gedras.

— Ot — nie pilnego! Widać, że ty raz pierwszy w takiej okazji. Będzie jeszcze moja siedzieć nad nią cały dzień, obiadu mi nie zwarzy. A gdzie moja fajka?

Marudził jeszcze długą chwilę — wreszcie poszedł.

Gedras go przez furtę przeprowadził i wrócił pomagać Wiktorowi. Czas mu się wydawał bardzo długim, a wreszcie i rzeczywistość minęła godzina jedna i druga, kotły były rozpalone, para zebrana, na niebie czynił się ranek — palacz nie wracał. Gedras wyszedł do bramy, otworzył ją. Robotnicy już szli drogą, sygnał parowy grał, zaczynał się pracowity dzień.

Nareszcie na końcu roboczej czeredy, nie kwapiąc, ukazał się palacz z żoną, opowiedzieli już wypadek, kto tylko mijał stróża, rzucał mu gruby żart lub pytanie, rozlegały się drwiące śmiechy i przewiska. Ten jakby

nie słyszał, poprowadził kobietę do swej budy.

Weszli. Lampka dogasała, kopeąc, ale już izba pełna była wiosennej zorzy słonecznej i w tym blasku złoto-różowym, jak czarna plama, jak brudna szmata, leżała na ziemi kobieta z głową odrzuconą sztywnie, z wyprężonemi w skurczu rękoma, wpół naga, bez jęku już i skargi.

— Co jej? — zagadnął Gedras, stając w progu.

— A toć już trup! — krzyknęła baba i przypadła na ziemi.

Gedras oparł się o futrynę drzwi i zdrewniał.

— Jezus, Marya! — wołała baba przerażona, a dziecko jeszcze żyje. Może i ją by docucić jeszcze można. Leć po doktora, po gospodynię od pańskich dzieci.

Gedras rzucił się na oślep do pałacu. Już się niczego i nikogo nie bał, ani się wahał. Już nie nędzarz chory potrzebował ratunku — już w jego chacie była wielmożność śmierci! Na alarm trupa poruszyli się wszyscy: rządca, gospodyni, lokaje, nawet brat pani, przybyły na chrciny, a doktor z zawodu. Po chwili tłum otoczył domek stróża i wewnątrz pełno było ludzi i gwaru.

Doktor odstąpił pierwszy — nie miał co robić. Popatrzał na zmarłą, złożoną na tapczanie, sztywną, białą, bez kropli krwi, obnażoną na pastwę oczu motłochu i wzgardy ludzkiej, otarł ręce, dobył portmonetkę — wyjął rubla.

— Na pogrzeb! — rzekł, rozglądając się, komuby ofiarę doręczyć. Usunęli się wszyscy.

Wtedy Gedras z tłumu wystąpił, zciągnął ze siebie kozuch i okrył nim trupa, potem kleknął i przeżegnawszy się, począł cicho paćerze.

W izbie nagle ucichł gwar, tłum się cały przeżegnał, jedna z kobiet zdjęła ze ściany gromnicę — zapaliła. Żółty płomyk chybotął się i kopciał, a słońce coraz wielmożniejsze, zalewało izbę — i była chwila jasnej ciszy!

Brzęk szabel wezwanej policyi przerwał skupienie. Dozorcy fabryczni i folwarczni zapędzili gapiów do roboty, doktor, położysz na stole rubla, wyszedł — zostało kilka kumoszek, rządca, Gedras i policya. Zaczęto badać stróża. Opowiedział po raz setny wypadek. Zmarła była wszystkim nieznaną, nikt jej w nocy nie spotkał.

Przeszukano odzież, nie znaleziono ani pieniędzy, ani papierów, tylko z prawej dłoni, kurczowo zaciśniętej, wydobyto z trudnością jakąś szmatkę na zerwanym sznureczku. Był to szkaplerz Serca Jezusowego i medalik Ostrobramski. Zerwała je snąc z szyi w agonii.

Policya spisała protokół, i odeszli. Zajęcia domowe odwołały część kobiet, już tylko został rządca, Gedras i gospodyni dworska, stara Jankowska.

— A cóż z dzieckiem będzie? — rzekła, zaglądając w garsć szmat, leżących na ławce pod piecem. — Jeszcze żyje. Trzebaby przedk ochrzcic, nim zastygnie. Dziewczynka!

Gedras rozwinął szmaty, rozległ się cichy pisk, ujrzał drobinę naga, siną, otwartą — a nie jeszcze nie widzące oczy, przypadł u ławy na kolana, i nie wiedząc co robić, by to życie utrzymać, jął je rozgrzewać oddechem.

— Toć żyje! Jadłoby! — wyjąkał.

— Ale, posyłaj-że po mamkę! — uragał

Jankowska.— Ot, ochrzęj prędzej z wody, bo zamrze lada moment.

— Toś ty narobił, osle! — wybuchnął rządca. — Teraz koszt pogrzebu, ciąganina, ambaras. Pani się zestraszyla podobno — w sam dzień chrzcina taki paskudny wypadek. Pewnie cię każą ze służby za to wygonić. Z dziesięć rubli to kosztować będzie, licho wie za co i po co — wydatek.

— Ja sam zapłacę, — ja sam! — rzekł Gedras. — To dla mnie Bóg zesłał. Ja tę pochowam, a tę wyhoduję — niech żyje. Od Boga mi to, od Boga.

Był bardzo blady, wargi mu się trzęsły, urywane padały słowa.

— Zfiksował! — ruszyła ramionami Jankowska.

Lokaj z pałacu wpadł, wzywając rządcę. Stara też się ruszyła i wyszła, mówiąc:

— Po chrześcijańsku ci radzę, ochrzęj, a to grzech będziesz miał, jak tak zamrze.

— Przyslijcie mi kapkę mleka! — zawołał za nią błagalnie Gedras.

Pozostał sam i zrozumiał, że oprócz ciekawości próżnej, nie od ludzi mieć nie będzie. Położył tedy dziecko napowrót przy ciepłym piecu, pobiegł do pachtu po mleko. Dano mu butelkę ciepłego jeszcze.

Trudno mu było dać sobie rady jedną ręką, ale wreszcie udarłszy kawałek koszuli, zrobił smoczek, wziął dziecko na kolana i spróbował poić.

— Pij, nieboże, pij, — nie zmiaraj mi! — szeptał. — Toć Bóg cię tu mi zesłał, jakże masz zemdlać. Ja tyle pokutowałem, żyj — Manius!

Po twarzy puściły mu się gorące łzy, padały na twarzyczkę dziecka, były jego pierwszą w życiu kąpielą. Rozległo się mlaskanie, maleństwo chciało żyć — piło.

Przez łzy Gedras począł się uśmiechać.

— Stróż, duchem do rządcy! — ktoś mu, przebiegając przez okno krzyknął.

Groza utraty służby, wydalenia, włóczęgi, oprzytomniła człowieka. Rozejrzał się po izbie, zatrzymał oczy dłużej na zmarłej, poczuł, że mu zimno bez kożucha, poczuł głód, jakiś strach przyszłości, gdzie pójdzie, co zrobi z dzieckiem, gdy go wygonią — skurczył się, głowę zwiesił.

A potem, przygarnął dziecko do siebie, pocałował, zawinał w szmaty, ułożył przy piecu, na siebie naciągnął starą kurtę i z głębokiem odetchnieniem wyszedł już na wszystko zrezygnowany.

Rządcę spotkał na podwórzu. Zły był i od razu począł krzyżeć:

— Ty sobie pamiętaj, żeby mi tego trupa do wieczora tu nie było. Jakaś sobie sprowadził, to na własny koszt sprzątaj. A cicho, żeby w pałacu i słyhać nie było. Ja o niczem wiedzieć nie chcę, ani ambarasu z władzami. Marsz!

O wydaleniu nie było mowy. Gedras odechnął i odszedł spiesznie.

Wrócił do stancyi, przebrał się odświętnie, wziął z kuferka pieniądze, drzwi za sobą zamknął na klucz i poszedł do miasteczka. Kupił trumnę, zamówił u znajomego kolonisty konia i furę, wydobył w policyi potrzebne świadectwo i około południa zziąjany, w śmiertelnej trwodze o dziecko — stawiał się na plebanii. Proboszcz właśnie po summie śniada-

nie pił, gdy Gedras stanął w progu z papierami w garści.

— A co tam? Czego wam potrzeba?

— Przyszedłem o pogrzeb prosić.

— Kto taki?

— Ja nie wiem, proszę dobrodzieja. Dziś w nocy nieznana kobieta u mnie w izbie zmarła przy porodzie. Świadectwo od policyi już mam. Pan kazał do wieczora trupa ze dworu uprzętać. Zapłacę, ile dobrodziej każe.

— To mniejsza, ale jakże to? kto? zupełnie nieznana?

— Powiadają, że może z pociągu wysiadła w nocy. Nikt nie zna. Z drogi podniosłem i u mnie zmarła.

— A wy kto? Nie znam.

— Ja stróż nocny z fabryki pana Zaremby, Gedras.

— Katolik?

— Tak.

— Jakże, że cię nie znam. Nie pamiętam ciebie ani z kościoła, ani ze spowiedzi. Nie dawno tu jesteś?

— Już trzy lata.

— U spowiedzi bywasz?

Gedras mileżał z oczyma wbitemi w ziemię.

— Nie bywasz? Czemu? — łagodnie ksiądz spytał.

— Po co?! — wyrwało się głucho z piersi człowieka. — Nie godzi mi się do Boga chodzić. On wie, jaki ja.

Ksiądz uważnie na niego popatrzał.

— Dawno już o spowiedzi nie był?

— Pięć lat.

— A przedtem bywałeś?

— Bywałem.

— A lepiej ci tak, nieumytemu tyle lat.

— Jak się kto w krwi ubroczy, to go nie obmyje.

Zapanowało milczenie.

— Pokaż papiery! — rzekł ksiądz. — I opowiedz, jakieś tę kobietę znalazł. A dziecko? Nieżywe?

— Jeszcze żyło, jakem rano wychodził, ale tyle godzin. Już chyba nie zastanę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Park w śniegu.



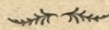
Park cicho drzemie, w szatę odziany bieluchną,
Owity lekko w srebrne, roziskrzzone puchy,
Jeszcze chwila — a jasne, uskrzydłone duchy
Przylecą i srebrzysty pył z gałęzi zdmuchną.

Przylecą, spojrzzeniami modrych gwiazd przelśnione,
Opasane złocistą księżycową rzęsą
I z drzew przepychy kwiecica, szron kryształny strzęsą,
By z niego precudowną upleść mi koronę.

Jeszcze chwila — stanąłem, patrzę zamysłony
W puszystą, nieskalaną białosc śnieżnych kiści
I czekam, rychło cud się przezuwany ziści...

W krąg cicho... tylko miesiąc po przez mgiel zasłony
Przedziera się i blasków sypie złote dźwięki,
Które na całun śniegu upadają miękki.

Zygmunt Różycki.



NAJNOWSZE PRĄDY W WYCHOWANIU.

Stulecie dziecka

PRZEZ

ELLEN KEY.

Ocena E. Jerlicza.



Stulecie dziecka! Sądząc z tytułu, zdawaćby się mogło nie jednemu, że autorka rozwinięta przed oczyma naszymi obraz pełen szczęścia i błogości, jeden z tych świetlanych mirażów, wysnutych z wyobraźni, jakie dusza ludzka w chwilach znużenia i troski tworzy, marząc o lepszym jutrze, które nadejdzie.

Przeczytamy książkę o dwustu kilkunastu stronicach i nie znajdziemy nic z tego. Autorka spowiada się nam wprawdzie ze swoich marzeń o przyszłości, ale one giną w powodzi wrażeń zupełnie innej natury, jakie wywołuje w duszy czytelnika.

Czemu więc przypisać zainteresowanie ogólne, jakie obudziła jej książka i szeroki rozgłos, jaki wywołała wśród myślącego ogółu?

Oto temu, że poruszyła kwestyę, która zajmuje umysły myślące całej współczesnej ludzkości, nad której rozwiązaniem pracują zarówno nad Tamizą, jak nad Sekwaną, zarówno w Rosyi, jak w Skandynawii i Niemczech: Kwestyę wychowania i wykształcenia młodych pokoleń.

Rozwiązanie tej kwestyi stało się zadaniem XX-go wieku.

Wszyscy czują świadomie lub instynktownie że system nauczania, system szkolny, panujący z małemi odmianami od czasu humanizmu, przeżył się niepowrotnie; że szkoła i życie, zamiast płynąć jednym bystrym, szerokim nurtem, rozchodzą się w zupełnie przeciwnych, a często wrogich sobie kierunkach, i że stan podobny staje się źródłem największej niedoli, udręczenia, spaczenia dusz i charakteru młodzieży, a następstwem tego rodzaju, która, skutkiem przyczyn ekonomicznych i społecznych straciwszy dawny wpływ i powagę, mających źródło swe w arbitralności władzy rodzicielskiej, nie oddziaływa tak, jakby powinna, na wyrobienie młodego pokolenia, w następstwie czego wytwarza się położenie zgubne zarówno jednostkom, jak społeczeństwu.

Te właśnie zgubne wpływy, te czynniki rozkładowe i niedole niemi wywołane zregestrowała autorka na kartach swojej książki, i w tem jej siła ogromna. Wszystko to, o czem mówi, nie jest nam obce. Powtarzaliśmy to po wielekroć w gronie naszych przyjaciół, czytaliśmy w artykułach dziennikarskich i książkach poświęconych wychowaniu. Zasługa jej w tem, że wszystkie te zarzuty, wszystkie braki i błędy zarówno wychowania, jak nauczania młodzieży zebrała i zestawiała razem, uprzytomniając nam z nową siłą to, co jest obecnie troską wszystkich rodziców i wszystkich wychowawców. A nie uczyniła tego na zimno, z obojętnością naukowego badacza faktów społecznych: z każdego jej zdania, z każdego słowa bije takie wielkie, takie bezgraniczne umiłowanie tych, w imię do-

bra których wzięła pióro do ręki. Ellen Key miłuje dzieci, miłuje młodzież, troska o przyszłość młodego pokolenia wypełnia całą jej duszę, nie daje jej spokoju, nie pozwala o niczem innym myśleć. Dla niej dziecko to świętość, to skarb przyszłości. Nie może znieść spokojnie, że ten skarb, zamiast z bogactw ludzkości, idzie tak często na marne, że czyste złoto zostaje zamienione na liche wytarte liczmany. Więc czy się to staje z winy rodziców, wychowania domowego, czy szkoły, zarówno ją to oburza, wyprowadza z równowagi, sprawia, że o czemkolwiek zacznie mówić, zawsze ten przedmiot powraca jej na myśl i pobudza do walczenia w imię dziecka. Ale równocześnie to sprawia niejako chaotyczność i brak jednolitości w układzie przedmiotu i treści. Autorka zamierza na przykład mówić o wymarzonej przez siebie szkole przyszłości, wtem potrafi o krzywdę lub niesprawiedliwość praktykowaną w obecnym wychowaniu dzieci, i oto zapomina o swoim przedmiocie, a staje w obronie pokrzywdzonych; przytacza statystyczne dane, powołuje się na zdania autorów, godne zaznaczenia, aby po jakimś czasie powrócić do swego przedmiotu. Gubi to jednolitość książki, ale dodaje jej wiele interesu i dużo ciepła, czyni autorkę tem sympatyczniejszą. Czytelnik czuje, że podkładem wszystkich jej uczuć i myśli jest miłość, wielka, gorąca, bezbrzeżna miłość; pomiędzy nim a autorką wytwarza się serdeczny prąd, obejmujący wszystkie troski, wszystkie niedole, wszystkie niepokoje, jakich serce jego doznaje jako ojca, obywatela i wychowawcy. Więc można się nie godzić na niektóre wywody i zapatrywania autorki; można jej zarzucić, że wykazując złe, za zbyt ogólnikowe daje wskazówki przeciwdziałania mu; można wykazać, że w swoim obrazie szkoły przeszłości nie rozwiązała problemu, nad którym pracuje bez osiągnięcia stanowczych rezultatów tyle głów myślących i wychowawców z zawodu; jednego jej odmówić nie można, że nad zwalczaniem złego pracuje szczerze, ma śmiałość przekonań i wielką, bezmierną miłość w sercu, odpowiednio do zasady, którą wypowiedziała w swojej książce: „Musi mieć serce w piersi, kto chce mieć równowagę w głowie.”

Drugim znamienym rysem autorki jest stanowisko, jakie zajęła wobec panującego prądu, który możnaby nazwać siłą odśrodkową rodziny. Skutkiem położenia ekonomicznego, zmuszającego kobietę do pracy zarobkowo-zawodowej, społeczeństwo współczesne dąży do tego, aby większość trudów rodzicielskich przeszła w zakres szkoły. Żłobki i ochrony, ogródki froeblovskie i początkowe szkoły, są to wszystko schroniska wyższego i niższego rzędu, gdzie dzieciom udziela się opieki, jakiej dom rodzicielski nie zawsze dać im może.

Prąd ten, dążący do zastąpienia pracy jednostki pracą zbiorową jest tak silny, iż coraz więcej odzywa się głosów przepowiadających chwilę w przyszłości, kiedy instytucje społeczne zastąpią w zupełności wychowanie domowe.

Ellen Key powstaje z oburzeniem przeciw podobnym uroszczeniom zbiorowości do praw

jednostki, a jako hasło odrodzenia społecznego stawia rodzinę.

Każda jednostka ma prawo rozporządzać sobą tak, jak jej się podoba. „Kobieta, która swobody swojej nie chce krępować więzami rodzinnymi, — mówi Ellen Key, — ma najzupełniejsze prawo nie krępować się niemi, ale ta, która przyjmuje na siebie obowiązki matki, musi i powinna sama wychowywać swoje dzieci, i nie pozwolić się wyręczać w tem nikomu.”

Lecz ideał, ku któremu ludzkość dąży i który w końcu osiągnie niechybnie, jest ten, że każdy, mężczyzna czy kobieta musi pracować.

Jakże więc pogodzić obowiązki macierzyńskie z pracą zawodową?

Szwedzka autorka znajduje na to radę.

— Przyjdzie czas — twierdzi, — że wychowanie dziecka stanie się główną troską i głównym zadaniem społeczeństwa, osią, około której będą się grupować wszystkie ustawy, wszystkie prawa, wszystkie instytucje i urządzenia społeczne. Wtedy zajęcie matki przy wychowaniu dziecka będzie uważane za najważniejsze ze wszystkich: matka, pełniąc te funkcje, będzie pobierała zasiłek, który uwalniając ją od troski zarobkowej, da jej możliwość poświęcenia czasu swego najgłówniejszemu zadaniu — bo wychowaniu przyszłego człowieka.

Istotnie, jest coś podniosłego w tej czci, jaką autorka otacza ognisko domowe. Tylko przez rodzinę społeczeństwo zostanie odrodzone — to jest myśl przewodnia jej książki. Lecz aby to nastąpiło trzeba zmienić społeczeństwo i rodzinę, co nastąpi dopiero w przyszłości, w owym *stuleciu dziecka*, a nastąpi wtedy, kiedy nauka odkryje wszystkie tajniki, działające w sposób dodatni lub ujemny na wytworzenie i rozwój istoty ludzkiej. Dziś znamy bardzo mało czynników, warunkujących rozwój fizyczny i moralny dziecka. To zaś, co o tem wiemy, nie jest ściśle określone naukowo, a w najlepszym razie stanowi kwestyę oporną. Co dzisiaj wiemy pewnego o tak ważnej kwestyi, jak dziedziczenie zalet, wad i chorób rodziców przez ich potomstwo?

Ale rozwój duchowy człowieka i jego sił intelektualnych nie ma miary, ni granic. Czy możemy przeczuć do jakiej potęgi dojdzie w przyszłości duch ludzki; jakie siły, dziś nam nieznanne, staną się własnością człowieka? Nadejdzie czas, kiedy rozwiąże on zagadkę swego istnienia; będzie wiedział, jakie wpływy działają zgubnie na jego rozwój, jako istoty ludzkiej, i do tego zastosuje całe swoje postępowanie i wychowanie młodego pokolenia.

Epoka obecna jest najnieprzyjaźniejsza, jaka może być dla rozwoju moralnego i duchowego człowieka. Pokolenie, które przyjdzie, będzie zupełnie inne od swoich ojców. Przedewszystkiem będzie ono harmonijnie rozwinięte. Pielęgnowanie ciała, aby wytworzyć typ nowy, piękny, wyższy niż obecny, stanie się zarówno przedmiotem naszych usiłowań, jak kształcenie duszy. Już starożytni ludy stały pod tym względem daleko wyżej od nas. Spartanie kształcili fizycznie zarówno dziewczęta jak chłopców; u Hebrajczyków unormowane były stosunki, określa-

jące przyjście na świat dziecka, ścisłymi przepisami higienicznymi, we współczesnych zaś społeczeństwach europejskich wychowanie, zarówno jak i wykształcenie młodzieży odbywa się na korzyść mózgu kosztem ciała. Wychowujemy istoty niedołężne pod względem fizycznym, stan zaś kultury i życia społecznego jest raczej zaprzeczeniem wszelkich zasad zdrowego, moralnego rozwoju młodej istoty ludzkiej. W jaki sposób zawierają się małżeństwa w naszym ucywilizowanym społeczeństwie? — pyta autorka. Na jakich podstawach opierają się nasze rodziny? Czy w większości nie rządzi niemi fałsz, obłuda lub przymus? Czy społeczeństwo nie powinno się bronić od tego, aby typy zbrodnicze nie utrwały się w niem przez wydawanie potomstwa? Czy ludzie, obarczeni chorobami fizycznymi lub umysłowymi powinni wchodzić w związki małżeńskie? Istnieje stary, utarty frazes, iż dzieci winni są wdzięczność rodzicom za to, że im dali życie, lecz w iluż to wypadkach rodzice powinniby raczej dzieci swe o przebaczenie prosić, iż je na świat wydali?

Przyszłość wyda inny typ rodziny: ludzie, doprowadzeni do pełni rozwoju swoich sił fizycznych i duchowych, będą się czuli „uświęceni” przez miłość, a dzieci, urodzone ze związków takich, będą zdrowe i silne.

* * *

Ellen Key staje w gwałtownej opozycji przeciw ruchowi współczesnych feministek.

— Żądacie, — mówi do nich — absolutnego zrównania pod względem praw kobiety z mężczyzną, występujecie gwałtownie przeciw ustawom ochronnym, ograniczającym po fabrykach pracę kobiet i dzieci, nazywacie to ograniczeniem niezależności jednostki. Ale jeżeli to prawo „niezależności jednostki” narusza prawo osoby trzeciej, jaką w tym wypadku jest dziecko?

Kobieta, jako jednostka, ma najzupełniejsze prawo wyrzec się rodziny, lecz ta, która zapragnęła macierzyństwa, przyjęła już tem samem obowiązki dla nieurodzonego jeszcze pokolenia, od których usuwanie się jest objawem z jej strony bezwzględego egoizmu.

— Mówicie o wolności kobiety, o jej niezależności, a gdzież jest ta wolność, ta niezależność, gdy kobieta pracuje jak bydlę robotce dla zdobycia tego minimum środków utrzymania, które ją od głodowej śmierci ratują? — Mężczyzna, utrzymujący rodzinę pracą pozadomową, ma przynajmniej chwilę wypoczynku: kobieta, utrzymująca rodzinę, przychodzi do domu zmęczona pracą, a wychodzi znużona zajęciami domowymi. Uzbrojona w statystyczne dane, z cyframi w ręku autorka daje przejmujący obraz śmiertelności i zwyrodnienia kobiet pracujących po fabrykach i dzieci, zrodzonych w podobnych warunkach, pozbawionych starań matki i pokarmu piersi matczynej.

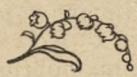
Na przyszłość społeczeństwo musi wybrać: albo przekształci stosunki zarobkowe, albo niech się przygotowuje na zwyrodnienie ogólne. Droga postępu wiedzie nieuchronnie do takiego stanu społecznego, gdzie wszyscy, tak mężczyzna, jak kobieta, będą musieli pracować. Lecz praca ta będzie się odbywała w warunkach higienicznych, za wystarczają-

cem wynagrodzeniem, a kobiety nie będą traciły siły dla macierzyństwa niezbędnych.

Dzisiejszy stan skierowania pracy kobiety na zewnątrz, oderwanie jej od domu i obowiązków rodzinnych jest chwilą przejściową, konieczną, aby wyrobić pojęcie w społeczeństwie i w mężczyźnie, że ona nie jest wyłącznie dla domu i dla męża; lecz wybierając dobrowolnie i niezależnie powołanie żony i matki, staje się w zakresie domowym i rodzinnym istotą równą mężowi. — Obecnie zaś kobiety muszą zrozumieć, „że przeobrażenie społeczne zacząć należy od mających przyjąć na świat dzieci, od ich poczęcia, ich fizycznego i psychicznego wychowania, że byt nasz przeobraża nowe instynkty, nowe uczucia, nowe pojęcia i nowe myśli, które matki i ojcowie we krwi przekażą swym dzieciom, że dopiero wtedy, gdy pokolenie po pokoleniu wytworzy nowe duchowe królestwo, wyrosną wielkie idee, które odnowią nasze życie.“

Lecz aby podobne przeobrażenie nastąpiło, potrzeba całkowicie zmienić dotychczasowe wychowanie. „Kilka tysięcy lat trwająca fuzja, polegająca na pieszczaniu, głaskaniu i biciu małych—nie jest wychowaniem.“—Wychować dziecko, to znaczy dokonać największego z dzieł ludzkich. Nie idzie o to, aby dziecku poświęcać wszystkie godziny naszego życia, tylko, jak się prześlicznie autorka wyraża: „dusza nasza musi być tak przepelniona dzieckiem, jak dusza uczonego jego badaniem, a dusza artysty jego dziełem; aby je w myślach mieć zawsze przy sobie, siedząc w domu, czy błądząc po drodze, kładąc się spać i wstając.“

(Ciąg dalszy nastąpi).



Ustępstwa uczuciowe.



Kwestya kobieca robi mi wrażenia zaplątanego węzła.

Ręk wiele sięga, by go rozwiązać—a wszystkie wysiłki, targania, szarpania mają ten skutek, że węzeł się zaciera coraz silniej, robi się zawilszym, a nieudane próby jednych zaostrzają ciekawość, pobudzają szermierkę, i budzą chęć popisania się projektem nowym, oryginalnym,—niewypróbowanym jeszcze.

Zapewne przyjdzie chwila, gdy ręka umiejętna czasu—i doświadczonej ludzkości węzeł rozplące lub przetnie,—ale przypuszczać wolno, że przyszłość to nie blizka.

Broniono praw kobiety, matki, żony, studentki i pracownicy,—omawiano szeroko fizyologiczną różnicę jej mózgowego ustroju od ustroju mózgu męskiego, przyznano kobiecie zdolności, pozwolono jej myśleć, kształcić się,—i pracować na równi z mężczyzną.

Przewrót nastąpił tak szybko, że mieszkanki prowincyi,—nie biorące udziału w zapasach i ruchu emancypacyjnym, zdziwione wyczytują w pismach o tej szerokiej pracy umysłów niewieścich — zagranicą zapoczątkowanej,—a idącej ku nam z żywiołową siłą.

Ostatni kongres kobiet w Westminster-Town-Hall odbyty w Lipcu r. b. dowiódł, że Angli-

cy szanujący każdą pracę poważnie traktowaną z uświadomionym celem, zapatrują się z uznaniem na ów ruch kobiecy, a hr. Aberdeen, żona wice-króla Kanady, kobieta niezwyklej zalet umysłu i serca przyjęła protokolat nad zjazdem.

Dziś, nie ma już dla kobiety niedostępnych progów w każdej świątyni wiedzy, odkąd kobiety odznaczyły się wynalazkami w dziedzinie nauk przyrodniczych,—zarówno jak dziełami filozoficznymi i rozprawami nagrodzonymi najwyższem odznaczeniem.

Przystąpiły razem z mężczyzną do pracy kobiety zdolne, swobodne, te którym los pozwolił się kształcić i wykształcić,—ale pozostał jeszcze cały zastęp kobiet nie mających wybitnych zdolności, warunków, lub chęci do wyższych studyów, a które mając prymitywne wiadomości chcą gwałtem korzystać z praw emancypacyi,—i stanąć obok męża nie tylko jako towarzyszk życia, lecz jako czynne współpracowniczki i pomocnice w jego pracy i zabiegach gwoli wyżywienia siebie i potomstwa.

Powiedziano i napisano w tej kwestyi wiele,—świeżo p. Żmijewska szukała i znalazła nowy zarobek dla kobiet,—które miały według jej projektu być opłacane przez mężów za wychowanie dzieci,—utrzymywanie w porządku domu i prowadzenie jego gospodarki.

Pomysł nie zupełnie nowy, gdyż nieraz spotykamy mężów, płacących regularnie umówioną kwotę żonom na utrzymanie domu i dzieci—a oszczędności przeznaczających na ich osobiste potrzeby.

Widzimy wieśniaków oddających część zarobku żonom w tym celu,—lub pozwalających im na trzymanie gęsi i kur: „żeby baba miała na przyodziewek dla siebie i dzieci.“

Takież podział dochodów spotyka się nawet częściej u ludu,—gdzie gotowy grosz jest zbierany przez kobietę zabiegliwą i staranną w większej ilości, niż przez gospodarza,—który dotąd wedle przysłowia czyni, że „Maciek zrobił—Maciek zjadł“.

Gospodyni zaś sprzedaje jajka, pierze i trzodę—i to stanowi gotowy dochód rodziny wieśniaczej.

I w sferze inteligencji zarówno miejskiej jak wiejskiej taki podział dochodu powinien egzystować,—a wprowadzenie owego porządku rzeczy zmusiłoby każdą kobietę do znalezienia sobie odpowiedniego zajęcia.

Zabiegliwa gosposia na wsi z ogrodu, ptactwa, pszczół, przedzenia, jedwabnictwa może sobie wyrobić specjalny dochód,—a w pogoni za dochodem znajdzie się zajęcie absorbujące jej czas i siły równie produktywnie, jak zajęcie męża koło gospodarki.

Ot, i jest od razu podział pracy,—współpracownictwo,—które idąc równolegle nie krępuje i nie wyzyskuje jedno drugiego.

W mieście każda z pań — poza zajęciem się domem i dziećmi ma jeszcze dość czasu by go przeznaczyć na podobny cel.

Jest wiele sposobów zarobkowania w domu, jak: kwaciarstwo, szmuklerstwo, pończosznicstwo, introligatorstwo, a dla uzdolnionych malowanie bonbonierek, ekranów, parawanów—i inne artystyczne roboty igłą.

Niechby w każdym mieszkaniu przeznaczony był kącik na podobny warsztat do któ-

rego zasiadałaby pani w wolnych godzinach,—to dzieci zapatrzywszy się na pracę matki brałyby się do tej roboty z chęcią, i też w wolnych chwilach od lekcji i koniecznej przechadzki, mogłyby się zaprawiać do pracy użytecznej i popłatnej.

Tylko chodzi o to, by prace te nie miały cech dylletanckiego uprawiania sztuki, lecz poprostu były traktowane tak poważnie,—systematycznie,—fachowo, aby mogły wzbudzić zaufanie odbiorców.

Na to potrzeba by nasze panie zechciały się uczyć—a nie liczyć nauki, by były szkoły sztuki stosowanej dające świadectwa,—by ktoś się zajął ułatwianiem podobnym pracownicom zbytu ich wyrobów, i by panie przede wszystkim podobny zarobek uważały nie jako wstyd ale jako chlubę,—a pieniądze stąd otrzymane nie przeznaczały na osobiste nadprogramowe wydatki,—ale przystępowały z nimi do budżetu, który dotąd obciąża tylko księgi kassową pracującego z urzędu małżonka.

Jednem słowem, aby pieniądz ten nie powiększał summy przyjemności, ale sumę dobrobytu rodziny.

W chwili kiedy przemysł przeżywa krytyczną chwilę, i skargi na zastój w handlu często się odzywają—mógłby mi ktoś zarzucić, iż powiększenie rąk pracujących podniesie hiperprodukcję i tak dającą się już odczuwać,—sądzę jednak, że wyroby te mające zbyt ułatwiony przez pośrednictwo jakiegoś towarzystwa do *popierania pracy domowo-zawodowej kobiet*—mogłyby taniością swoją konkurwać z podobnymi wyrobami sprowadzanymi z Niemiec i Austrii.

Nieraz zdarzyło mi się słyszeć podobne zdanie: „panna Marya wychodzi za męża, więc już nie będzie szyć sukien“—lub—„panna Julia wyszła za męża więc już lekcji nie daje.“

Nie jest to bynajmniej dowodem, by p. Marya i Julia znalazły mężów tak zamożnych, iżby nie potrzebowały pracować nadal, nie!—jest to tylko jeden z częstych u nas wypadków, że „mąż jej nie pozwala pracować—bo nie chce by się męczyła—lub nie chce, by jego żona pracowała.“

I tu znów występuje kwestya próżności męża dla żony, która sprawia: że dwoje ludzi, z których każde miało swój zarobek—łącząc się—i powiększając swoje potrzeby—umniejsza zarazem o połowę dochody.

Słynny Michelet dowodził, że łatwiej żyć we dwoje, niż jednemu,—zamiast dwóch pokoi—opłacać jeden,—zamiast dwa paleniska—opalać jedno itp., u nas zaś rachunek ten wprost przeciwnie się przedstawia.

Dzieje się to zazwyczaj przez próżność — a też i nieraz przez *ustępstwo uczuciowe* męża względem żony lub odwrotnie,—które sprawia, że panna Julia jadała dwie potrawy na obiad—jej małżonek będąc kawalerem też dwie;—ale pani Julia chce się popisać przed mężem hojnością—lub chce mu dogodzić dodając trzecią.

Pan mąż zaś tak kocha swoją żonę, że nie odważy się jej przypomnieć, iż on nie będąc żonatym—a ona zameżną, obchodzili się doskonale i zdrowo dwoma daniami każde.

Te koncesyje uczuciowe powiększają niezmiernie rubrykę wydatków dwojga ludzi żyjących razem — a którzy żyjąc rozsądnie

lub przynajmniej mając zarobki oddzielne i osobny dział przychodów i rozchodów nauczyliby się liczyć, — oszczędzać, — i owych koncessyji napewno by sobie wzajem nie robili.

Niech odrazu oszczędność będzie więcej egoistyczną w pozorach, — a rachunkowość szerszą, — a będzie mniej mężów narzekających na zwiększone rozchody po upływie tradycyjnych — a pełnych *ustępstw uczuciowych* miodowych miesięcy.

Ida Pilecka.



Zwykłe dzieje.



Samotna szła przez całe życie,
Bo nie umiała zdradnie, skrycie
Oplatać kogo czaru nitką
A była — brzydka.

Zachwyty, przysiag, czułych wejrzeń,
Oszczerstw, zazdrości i podejrzeń
Zatrutą czarę nieraz piła,
Bo — piękną była.

Lękały się jej babce, ciotki,
Gorszyły kumy i dewotki,
Świat mężki kłął ją też bez mała,
Bo — rozum miała.

Nie śmiała mieć własnego zdania
Maż ją — z uśmiechem pobłażania —
Wiódł powinności drogą wążką,
Bo była — gąską.

Stroniły od niej dusze tkliwe,
Szarpały plotką „litościwe“,
Nikt jej nie uznał serca godną,
Bo była — chłodną.

Czerpał z niej każdy, jak ze źródła,
Żyła w tęsknocie, niepokoju,
Zdradzana, smutna i zbolala,
Bo — serce miała.

J. S.



Praca społeczna kobiet w Galicyi.



(Ciąg dalszy).

Program w powyższy sposób rozłożony uwzględniwszy trzyletni kurs nauki. Naturalnie uczennice 1-go i 2-go oddziału przechodzą wszystko to prędzej. Zmiana zajęć odbywa się co miesiąc 1-go i 15-go i tak jest urządzona, że w zajęciu pozostaje przynajmniej jedna uczennica, pracująca tam od dwóch już tygodni.

Przebywając w danym zajęciu uczennica nie tylko wykonywa odpowiednią pracę ręczną, ale zarazem otrzymuje wskazówki teoretyczne, odnoszące się do tej pracy, udzielane jej przez nauczycielki i odpowiedzialne dziewczęta w toku samejże roboty.

Oprócz tego uczennica utrzymuje odnośną rachunkowość i to podwójną, polegającą na szczegółowym zapisywaniu wszystkiego, cokolwiek do tego zajęcia z innych wydziałów pracy przybyło i co z niego wydanem zostało. Codziennie uczennice zbierają się na tak

zwaną kontrolę i każda sprawdza czy przychód i rozchód jej wydziału zgadza się z rozchodem i przychodem innych wydziałów, mających z nim związek.

Uczennice nabierają tym sposobem praktycznej nauki rachunkowości, która przestaje być dla nich martwą literą.

Po ukończeniu nauki w każdym wydziale pracy, uczennice składają egzamin, to znaczy, że przez parę dni mając sobie powierzony zarząd pewnego wydziału, dowieść muszą, że nabyły w nim umiejętności.

Wykłady popołudniowe nie wszystkie i nie zawsze odbywają się regularnie i prawidłowo; dwa razy na tydzień buchalterya i arytmetyka, dwa razy śpiew chóralny. Od 6—7-ej wieczorem nauka religii, prowadzona bardzo praktycznie, z rozumem zastosowaniem do życia. Historia powszechna i polska zajmują też poważne miejsce w wykładach.

Uczennice 3-go oddziału najwięcej uczą się podczas zimowych miesięcy.

Inne lekcye po za wymienionemi są wtedy, kiedy znajdzie się jaka osoba, która zna dane przedmioty i chce je wykładać. I tak: czasami były lekcye ogrodnictwa, higieny. Szkoda, że pod tym względem program w praktyce nie jest ustalony i zakład jest za biedny na to, aby miał dobrych wykonawców bardzo obszernie zamierzonego zakresu nauk gospodarczych.

Wielką uwagę w zakładzie zwracają na czytanie. Bibliotekarka kieruje braniem książek do czytania, gdyż nie jedna paniienka chwyta książkę, która podoba się jej z tytułu, a do której czytania nie jest umysłowo przygotowana; podsuwa dziewczętom książki, których nie czytały, a powinny być przeczytane; książki, któreby je mogły wyrobić na dobre obywatelki kraju. Istnieje też katalog książek wartościowych, najważniejszych dla młodych dziewczęcych umysłów. Aby przyzwyczaić uczennice do porządnego i korzystnego czytania, zakład żąda od nich szczegółowych sprawozdań z przeczytanych rzeczy, uczy je streszczać, gruppować, jednym słowem opanowywać cały proces umysłowy, wytwarzany czytaniem.

Zakład czyni wiele zabiegów w kierunku wykształcenia charakteru dziewcząt, pragnie z każdej uczennicy zrobić szlachetną, religijną obywatelkę kraju. W tym celu używa następujących środków: rekoleccy, rozmyślań, rachunku sumienia, wykładów o obowiązkach kobiety, tygodniowych napomnień osobistych, rozmaitych praktyk religijnych, a nadewszystko dobrego przykładu.

Rozmyślanie odbywa się rano, zaraz po krótkim pacierzu i trwa około pół godziny. Motto dla rozmyślenia biorą z Pisma św. lub katechizmu i starają się odpowiedzieć sobie na następujące pytania: 1) Co znaczą słowa, nad którymi chce się zastanowić; 2) Jak się te słowa do mnie i do moich obowiązków stosują; 3) Czy tak postępowałam, jak mnie te słowa uczą; 4) Jeżeli nie — dlaczego? Co stoi na przeszkodzie? 5) Co zrobię dziś, żeby te słowa w czyn wprowadzić?

Potem zapisują w kajeciku postanowienia, wynikające z rozmyślenia, a w duchu usiłują się dokładnie określić, w jakiej chwili, względem jakiej osoby lub rzeczy trzeba się przewyciężyć, do czego zmusić, od czego powstrzymać, co znieść cierpliwie i t.d., wreszcie proszą Boga o pomoc.

W wieczornym zaś rachunku sumienia, trwającym razem z krótkim pacierzem od 20 do 30 minut, sprawdzają, czy dotrzymały postanowienia: jeżeli tak, to dziękują Bogu, jeżeli nie, przeprasza ją Go i zdają sobie sprawę z przyczyny upadku, ażeby na przyszłość skuteczniej zaradzić złemu. Pani Zamoyska wielką uwagę zwraca na te dwa środki duchowej pracy nad sobą. Młoda pani Z., córka pani generałowej, sama prowadzi te ćwiczenia pobożne, sama układa rozmyślanie

i wie, jak trafić do serca młodej paniienki; jej entuzjazm zdrowy i silny może dobrze wpłynąć na uszlachetnienie religijne świeżej duszyczki dziewczęcej. Ponieważ i rozmyślanie i rachunek sumienia zawsze dadzą się zastosować i wszędzie mogą mieć miejsce, dlatego p. Z., choć nie jest za tem, aby uczennice codziennie bywały na Mszy św., którą zawsze mają w kaplicy zakładu, — to jednak do rozmyślenia i rachunku sumienia każdą usiłuje zaprowadzić, aby w ten sposób inteligentnie przeszczerpić w nią ideały Chrystusowe i uczynić jej religię rozumną, silnie odczuwaną i głęboko w duszę zakorzenioną.

Rekoleccy odbywają się: główne raz na rok, a dodatkowe od czasu do czasu. Ten środek najenergiczniej działa na młode, wrażliwe dusze i od razu wprowadza je we wnętrze tego duchowego życia, które panuje w zakładzie.

Wykłady o obowiązkach kobiety: obywatelskich, o obowiązku pracy ręcznej, umysłowej, duchowej (religijno-moralnej), o wychowaniu według zasad katechizmu, czyli o zastosowaniu katechizmu do wychowania, o sposobach zachowania się w świecie i w zakładzie i t. d., dwa razy na tydzień o godzinie 4-ej po południu, miewa sama pani generałowa Zamoyska. Wszystko to albo już zostało wydrukowane, albo też szykuje się do druku bezimiennie, lub pod nagłówkiem „Zakład Kórnicki.“

Pani Z. tak się zżyła z zakładem, a zakład tak z jej życia powstał, tak przez nią zorganizował się i z niej wyrósł, że jak pani Z. jest sercem zakładu, tak cały zakład jest jej organizmem, dalszem upostaciowaniem się jej ducha. Wszystko, co pani Z. napisała lub wypowiedziała, wszystko to tłumaczy nam ideę zakładu, stanowi jego program i regułę jego życia. A ciekawe są te myśli i słowa p. Z.: tak życiowe, tak głęboko przetrawione i tyle w nich siły duchowej, oryginalności, tyle dowcipu szlachetnego i praktycznej mądrości. Styl pani Z. jasny, jedyny i pełny, jak jej dusza. Niema w jej zdaniach niczego niezrozumianego, ledwie przeczuwanego. Wszystko oparte na dobrem i starannem o czytaniu się w danym przedmiocie, lub na długiej i pracowitej praktyce.

Radziłbym każdemu, aby przeczytał wszystkie dzieła pani Zamoyskiej. Każdy jej wyraz przesiąknięty jest taką wielką i rozumną miłością dla kraju i dla społeczeństwa, takim rozsądnym zastosowaniem teorii i ideałów do praktycznego i pożytecznego życia na ziemi wśród ludzi.

Głównymi ideałami pani Z. są: 1) praca dla kraju przez odszukiwanie we właściwym społeczeństwie tego, co w niem dobre i zachowanie, oraz rozwijanie tegoż staranne a rozsądne; przez pokutowanie za to, co było i jest złego i naprawianie wad starych; wreszcie przez zdobywanie i rozumne zastosowanie dzisiejszego postępu i zagranicznej kultury. 2) Umiejętna praca ręczna przy gospodarstwie domowym. 3) Wyższe i praktycznie zastosowane do danych potrzeb wykształcenie kobiety, tak umysłowe, jak i estetyczne. 4) Moralność szlachetna, ludzka, jaśniejąca przykładem w świecie, pośród wszelkich nawet najpospolitszych i pośród najtrudniejszych okoliczności życia. 5) Obowiązkowość we wszelkiej pracy. 6) Obywatelskość i szerokie oddziaływanie społeczne naokół, choć nie przez rozgłośne agitatorstwo, lecz przez własny cichy przykład. 7) Chrześcijaństwo szczere, rzetelne, praktyczne, powiązanie harmonijne obowiązków świeckich z obowiązkami religijnymi, praca jednoczesna dla Boga i ludzi.

Szczególniebym polecał wszystkim, którzy zajmują się wychowaniem religijnem dzieci, aby korzystali z wykładów pani Z. o wychowaniu (niedługo ukaza się w druku). Te wykłady wskazują nam sposób, jakiego trzeba

użyć, aby religię w dziecku wykształcić, a nie wypchać mu pamięć niezrozumiałymi i suchymi formułkami dogmatyczno-etycznymi. Podobnie praktycznie napisanych, zastosowanych do życia pojęć wiary i moralności, jeszcze nie spotykałem ani w naszej, ani w obcej literaturze. I przy czytaniu tego dzieła przyszła mi myśl, że do napisania stosownego podręcznika do nauki religii, powinni być powołani obok teologów, dających naukowy szkielek wykładu, także i ludzie świeccy, znający wybornie życie, psychologię dziecka, warunki i okoliczności, wśród których żyje młode pokolenie.

Przeczytanie dziełek pani Z. wprowadza nas w duszę jej instytucji, pozwala zrozumieć i odczuć należycie wszystko to, co się widzi w Kuźnicach. Chciałbym, aby obeznały się z zakładem i pismami pani Z. wszystkie nasze warszawskie dziwolągi-dewotki, które prowadząc niby wyższe mistyczne-ascetyczno-zakonne życie, ciąglą wojnę prowadzą ze światem, ludźmi, ze zdrowym rozsądkiem, szlachetną etyką i nowoczesnym postępem. Nauczycielki, w jaki sposób należycie żyć się powinno prawdziwie po chrześcijańsku i obowiązki swoje uczciwie spełniać. Przełożone i „odpowiedzialne“ mając ciągły nadzór nad uczennicami, notują starannie wszelkie ich wady i postępy w dobrem, zdają cotygodniową relację pani Z. i urządzają wspólnie w wydziałach poszczególnych „monity“, t. j. upomnienia. Jest to, zdaje mi się, bardzo ryzykowna metoda etycznego wychowania, ale zapewniano mnie, że nadzwyczajnie praktyczna i pożyteczna. Z początku razi nowe uczennice, później, kiedy przyzwyczajają się do tego biczka, który ich zlekka chłoscze i podnieca do poprawy, kiedy po ciągłych tłómaczeniach racji tego środka wychowawczego, rozumieją jego potrzebę, chętnie słuchają nagan, wobec innych wygłaszanych, starają się poprawić i zasłużyć sobie na pochwałę. Naturalnie napomnienia te tyczą się zwykle zewnętrznych drobnych występów przeciwko porządkowi, regulaminowi, dobremu zachowaniu się. Nie wyjawia się zaś nigdy jakichś hańbiących czynów, które zresztą pewnie tam się nie trafiają.

Pamiętam, że takie osobiste zwracanie uwagi przez pewnego profesora, który poprawiał i wyszczególniał rozmaite błędy gramatyczne i stylistyczne w naszych wypracowaniach, ogromnie interesowało wszystkich, wrażały się silnie w pamięć naszą i wżerały się w serce nieraz boleśnie, ale jako nadzwyczaj skuteczne antidotum.

Pani Z. zwraca wielką uwagę na to, aby jej uczennice nie przeciążały się zbyt licznymi praktykami religijnymi i żeby nie stawały się formalistkami.

Najwięcej atoli działa dobry przykład. Sama pani generalowa przesłizny charakter, nadzwyczaj złożony, wyrobiony i zharmonizowany. Kształconą była przez nauczycielkę Angielkę i długo przebywała w Anglii, wiele więc ma w sobie skupienia, panowania nad uczuciami, praktycznej przedsiębiorczości, rozsądku i stałości w charakterze. Pobył w Francji, wpływ znakomitego kardynała Perroud, członka Akademii francuskiej, wielkiego przyjaciele Polaków, ojca Merriot, jej spowiednika z zakonu Oratoryanów, dały jej polot organizacyjny i głęboką wiarę. Wreszcie domowa przeschłachetna atmosfera, przykład ojca, męża, wyrobiły z niej gorącą obywatelkę, pracowitą mistrzynię w gospodarstwie. Sam widok pani Z. dziwnie działa na człowieka.

Niewielka, drobna postać bardzo estetyczna. Twarz blada, jakby wykuta z marmuru; kształtny orli nos; oczy jasne, otwarte; usta przymknięte; włosy siwe, ozdobione koronkowanym przybraniem, zawiązanym pod szyją; Czoło pełne zmarszczek, zciągniętych do środka i do dołu. Czuć w tej postaci wielki chara-

cter, majestat religii, głębię ducha, silną, skupioną i ciągle czynną myśl. Pomimo nadzwyczaj skromnego czarnego ubrania, jest w niej coś imponującego.

Córka p. Zamoyskiej, kobieta w średnim wieku, przedstawia inny typ niż jej matka, ale także bardzo wybitny. Entuzjastka, energiczna, pracowita, oddana jest również całą duszą zakładowi. Nauczycielki—to wszystko osoby z poświęceniem. Niektóre nawet płacą za utrzymanie w zakładzie. Tylko ubogie biorą jakąś kwotę na własne utrzymanie i na konieczną pomoc dla rodziny. Nawet t. zw. „odpowiedzialne“ dziewczęta są na tych samych warunkach.

A jaka energia w tych kobietach! Jakie pali się w nich życie! Jakie ruchy dzielne, obrotne, jakie twarze szczerze, jakie otwarte i śmiałe. To też życie aż kipi w zakładzie. Cała ta atmosfera wyteżonej, ruchliwej, rzutkiej pracy, mimowoli musi oddziaływać na uczennice, szczególnie w tym wieku przejściowym, kiedy tak łatwo oddają się tęskliwym, próżniaczym marzeniom i kwietyzmowi religijnemu.

Uczennice w zakładzie pani Z. otaczają ustawicznie nauczycielki „odpowiedzialne“, które co chwila dają jej stosowne uwagi, uczą, jak mają wielkie swoje ideały religijne, etyczne, społeczne, wprowadzać w drobne czynności przy sprzątanii, przy pralni etc. W ten sposób dziewczę wchodzi z wielką duszą w świat życia praktycznego i umie później poradzić sobie z ciężkim życiem, ze wszystkimi jego niespodziankami, burzami, wirami i kłóskami.

Zakład p. Z., jak zaznaczyłem, ma największej ubogich uczennice, które nie prawie nie płacą i dłuższy czas w nim przebywają. Praktyczna więc wartość zakładu jest tem większą. Ubogie dziewczęta zostają potem gospodyniami, najczęściej we własnej rodzinie. (Nie wiele z nich idzie do służby).

W świat gospodarstwa domowego ludowego lub rzemieślniczego wnosi się szlachetna kultura, która tem bardziej rozszerza się na okół, bo większe panuje zbliżenie ludzi do ludzi w niższych sferach społecznych, niż w wyższych lub średnio zamożnych.

Zresztą i pięcio-letni kurs,—choć co prawda nie zawsze trwa do końca,—wpływa na to, że uczennice więcej przejmują się duchem zakładu i aczkolwiek powoli, ale głębiej prześiąka w nie jego wpływ moralny.

W pierwszym roku w uczennicy starają się wyrobić najbardziej pierwotne i podstawowe cnoty: prawdomówność, posłuszeństwo i uczciwość (t. j. żeby nie kradła), w 2-im — pracowitość, porządek; w 3-im sumiennosc w wykonaniu obowiązków („żeby się można było na nią spuścić“), zachowanie przepisów i regulaminów, w 4-ym i 5-ym roku poszanowanie dla starszych, formy grzeczności, żeby pomimo zażyłości z zakładem i jego ludźmi, była nie zarozumiała i grzeczna.

Ks. Wł. Kirchner.

(Dokończenie nastąpi).



OSTATNI RAZ.

OBRAZEK.



Od lat czterdziestu przeszło Gołębski z uderzeniem godziny 9-ej z rana wychodził z gmachu pocztowego z torbą pełną listów i gazet i krokiem miarowym rozpoczynał wędrówkę po mieście. Nie nigdy nie było w stanie zatrzymać go choć na krótko w jego pochodzie.

Przed kościołem tylko stawał na chwilę, zma-wiał „Zdrowas“ i ruszał dalej. Punktualnie o dwunastej był w aptece. Bez słowa rozkładał listy i gazety i składał je na kontuarze. Jeśli nic nie było, rzucał lakoniczne „piszą“ i czekał cierpliwie, aż mu który z panów nie poda sporego kieliszka wódki, przez Gołębskiego „chyną“ zwanej, z powodu gorzkich kropli, jakie do niej dolewano. Wódkę wypijał duszkiem, życząc wszystkim obecnym „dobrego zdrowia“, zagryzał paru kęskami chleba, dobytego z kieszeni i ruszał dalej.

O piątej powracał do domu. Zjadał obiad przyrządzony mu przez głuchoniemą staruchę, którą po śmierci żony przygarnął z litości i zaraz potem spieszył, aby przed szóstą jeszcze powybrać ze skrzynek korespondencję.

Wieczory całe z dobrej woli spędzał na poczcie, segregując i stemplując listy, a kiedy go nieraz naczelnik pytał, czemu nie odpoczywa u siebie, odpowiadał:

— Niema po czem, a w czterech ścianach samemu nudno, tu w kompanii lepiej.

I dalej spełniał mechaniczną, zmuśną czynność, byleby na chwilę nawet nie dać przystępu czarnym myślom i tym okropnym wspomnieniom, które mu duszę rwały na strzępy i pozbawiały nadludzkiem wysiłkiem zdobytej równowagi. W nocy przed nurtującym go bólem bronić się nie próbował wcale i w ciszy wolno upływających godzin przeżywał po raz tysięczny może, przedwczesną śmierć żony, a potem syna, który mu był wszystkim: celem życia, jedyną pociechą i nadzieją jaśniejszej przyszłości.

I widział, jak na jawie ten pogodny, jesienny dzień letni, pełen ciepłych promieni słonecznych i srebrno-białych nici pajęczyny, kiedy po raz pierwszy ubrał swego Stacha w mundur szkolny i wczesnym rankiem odprowadził do gimnazjum. Chłopczyna wszedł w dziedziniec, a on w bramie stał i rozrzuconym wzrokiem gonil jego wątłą postać, przybraną w długi, sięgający pięt mundurek i uginającą się pod nowiuteńkim, pełnym ksiązek tornistrem. O, jakże się tego dnia czuł szczęśliwym, jak spieszył do swej izdebki, na której progu czekał go uczeń-syn, witając serdecznie!

— Tatusiu! przyniosłem doskonałą cenzurę! — wołał Stach jednego dnia radośnie, — pewno przejdę bez egzaminów. Ach! żeby to już prędzej zostać doktorem, wtedy za nic nie pozwolę, aby tatuś z temi listami chodził. Niech mi tatuś przyrzeknie, że tak będzie, dobrze tatuścu, mój złoty, jedyny? — pytał, obsypując pocałunkami zgrubiałe ręce ojca.

— At! nie wiedzieć co wyplatasz! — ofuknął niby urażony. — Czy to taka ciężka praca spacerować sobie dzień cały! No pewno, jak zostaniesz doktorem, to będę siedział na starość u ciebie i o nic się nie troszczył, tylko w ciepłych pantoflach przy kominku czytał „Kurryera.“

I ściskali się serdecznie, kryjąc jeden przed drugim łzy rozczulenia, cisnące się im do oczu.

Niedługo potem w słotny dzień jesienny zapukała do nich choroba, a w kilka dni nie stało Stacha. Zabrano mu syna na zawsze! Nie dawał go, wył z bólu i rozpacz, gdy jego skarb jedyny na cmentarz wynosić mieli,

do krwi pokaleczył sobie ręce, chcąc powyrwać gwoździe, którymi trumienkę zabito, szarpał się, miotał bezsilny... i w końcu ustąpić musiał.

Trumnę przemocą zabrano, a on w czterech pustych ścianach został na zawsze sam. Ludzie umrzeć mu nie dali, jakie to okrutne!...—Byle prędzej do śmierci, byle prędzej!—powtarzał odtąd ciągle i gorączkowo, zapamiętał oddał się mechanicznemu zajęciu nie rachując godzin, ani dni.

Czas mijał powoli, niepowstrzymany w swym biegu, a praca przynosiła Gołębskiemu względny spokój i chwilowe zapomnienie, to też jak grom z jasnego nieba uderzyło go zawiadomienie o dymisji. Dadzą mu emeryturę, — zapewniał go naczelnik uprzejmie, dziękując za tyle lat niezmordowanej pracy, a Gołębski stał bez słowa, nieporuszony, jakby nie rozumiał, o co idzie. Nagle schwycił swą torbę, pełną korespondencyi, i pospiesznie wyszedł z poczty.

Czuł szum w uszach, krwawe jakies płątki latały mu przed oczyma, a w skołatanej głowie wirowało jedno jedyne: Więc to ostatni raz, a potem co będzie? Do czego ma powrócić? Czekają go pustka samotnego domu, szereg beczynnych godzin, których się tak szalenie bał. Nie! — tego nie zniesie... Należy mu się odpoczynek — powiedział naczelnik, — ale on go nie pożąda, nie chce, mieć nie może... Wędrował przez życie utartą ścieżyną, chciał nią dojść spokojnie aż do śmierci, a teraz co go czeka? co ze sobą zrobi?

I plątały mu się myśli w głowie i w żaden sposób nie mógł rozstrzygnąć zadawanych sobie pytań. Automatycznie szedł przed siebie, roznosząc jak zwykle listy i gazety, tylko już przed kościołem nie przystanął i do apteki nie zaszedł.

Nie czuł ani głodu, ani zmęczenia, nic.. tylko dziwny, głuchy jakiś niepokój wstrząsał nim od czasu do czasu, budząc z odrętwienia.

Przed piątą jeszcze torba była pustą. Sięgnął do niej ręką i zobaczył, że ma tylko jedną kartę do wręczenia.

— Ostatnia! — wyszeptał i osunął się bezwładnie na stojącą w pobliżu ławkę.

Nie miał odwagi oddać tej karty, jakiś dziwny chwycił go lęk, zdawało mu się, że to ostatnia, łącząca go z pocztą nić, więc kurczowo zacisnął ją w rękę, głowę pochylił na dłoni i smutno westchnął.

— Zmęczony jestem! — pomyślał z goryczą, — zmęczony i słaby, więc odejść potrzeba, młodszym miejsca ustąpić muszę, ale co z sobą zrobię, co? Ciszy się lękam, samotności boję... Ach, czemu ci moi ukochani rzucili mnie wśród ludzi samego, czemu?

I chwycił Gołębskiego straszny, piekący ból — czuł, że go coś w gardle dławi, dusi a w oczach stanęły mu dwie wielkie, piekące łzy.

Na dworze zapadał zmierzch wczesny, jesienny. Po ziemi pod drzewami mroki się już snuły szare. Słońce coraz bardziej pochylało się ku zachodowi, coraz czerwieniej wysyłając promienie. W około cisza panowała głucha, pełna melancholii, jakby skupiona w sobie, w siebie zapatrzona.

Gołębski siedział nieporuszony, jakby nie

nie widział, cicho, duża łza staczała się wolno po jego pomarszczonej twarzy, a ostatni promień zachodzącego słońca odbijał się w tej łzie, tęczowe w niej zapalając blaski.

— Czas mi odejść! — wyszeptał starzec cichutko drżącymi ustami, — czas!

Adelina Zajkowska.



Bankier ubogich.



- „Trzy franki za zegarek!
- Sześć franków za pierścionek!
- Piętnaście franków za fonograf!“

Rzecz się odbywa w wielkiej sali „zastawów“ w stolicy Mont-de-Piété (lombard miejski) w Paryżu na ulicy Blancs-Manteaux. Ze dwadzieścia osób oczekuje swej kolei. Urzędnik, w miarę gdy mu podają nowy przedmiot, ogląda go, rzuca cyfrę, następnie otrzymawszy znak przyzwolenia od interesanta, skreśla kilka wierszy na arkusiku papieru białego, żółtego, zielonego lub różowego—odpowiednio do roku: jest to „kwit“, do którego dołącza sumę przyznaną;—zastawiający chowają, i oto operacya skończona.

W taki to sposób codziennie, przez rok cały, nawet w Niedziele, nietylko w głównym zakładzie na ulicy „Blancs-Manteaux“, ale i w trzech filiach na ulicach: Servan, Caprou i Rennes, w biurach tak nazwanych pomocniczych, mieszczących się w dwudziestu i jednym cyrkule, i w czterdziestu czterech zakładach we Francyi i w Algierze, Mont-de-Piété, bankier ubogich, a nieraz i zamożnych, pożyczają 100 milionów, blisko pięciu milionom potrzebującym jego pomocy. Z tej sumy idzie na sam Paryż ogromna część: prawie sześćdziesiąt milionów!

Zakład Mont-de-Piété daje pożyczki na wszystko: na najmniejszy przedmiot równie, jak na klejnot, którego blask oświetnia zebrania eleganckiego świata.

Tuż obok siebie, o kilka tylko metrów oddalone, spoczywają w jednakowych pudełkach tekturowych, w których zamykają zastawy, kolje dyamentowe za 100,000 franków i broszki złote „w deseniki“, skromne obrączki ślubne i pierścionki przyozdobione szmaragdami, perłami i szafirami.

Pierwsze miejsce w Mont-de-Piété zajmuje zegarek, on tam jest królem! Zegarek srebrny, złoty, remontoir lub nakręcany kluczykiem, z łańcuszkiem lub bez kluczyka. Już w roku 1777, kiedy Mont-de-Piété zaczął istnieć, autor „Tableau de Paris“ Sebastian Mercier, pisał, że zapępiały one po brzegi czterdzieści skrzyń. Zegarki napływają zawsze. Począwszy od pokornie tykającego chronometru rzemieślnika lub studenta, napływa do Mont-de-Piété przecięciowo rocznie 350,000 zegarków—czyli 1,000 dziennie, 40 na godzinę, prawie jeden na minutę! Ponieważ według ostatniego obliczenia stolica ma 2,780,000 mieszkańców, można zatem twierdzić, że na ośmiu Paryżan, znajduje się zawsze jeden, który z najrozmaitszych powodów zanosi regularnie co rok zegarek „do swojej cioci“ lub „na gwóźdź,“

według uświęconego określenia gwary popularnej.

Zastawienie zegarka tak mało kosztuje! Za bagatelną kwotę 40 centymów, za którą zastawca otrzymał pożyczki 5 franków, zegarek może pozostawać przez cały rok w Mont-de-Piété.

Zegarek złoty zastawiony za czterdzieści franków, można odebrać również po roku, opłaciwszy 3 franki 20 c., stosownie do pobieranego w Mont-de-Piété procentu 7 od 100. Co prawda, nie należy zapominać zbyt długo o zegarku; w końcu bowiem trzynastego miesiąca, zastawione przedmioty mogą być sprzedane, jeżeli ich właściciel nie da znaku życia—wówczas ma jedyną pociechę w tem, że otrzymuje nadwyżkę, jaką pobrano przy sprzedaży.

Po zegarkach idą obrączki. W przeciągu jednego tylko roku zastawiono ich 63,402, Biedne obrączki! Powinny przecież przypominać datę niewdzięcznym, którzy nie wahaają się zamieniać je na kilka sztuk drobnej monety! Ich przeznaczeniem bywa częste przechodzenie ze składów Mont-de-Piété w ręce tandeciarzy. Na te 63,402 obrączek, 7,052 nie wykupiono, wskutek czego zostały sprzedane. Zapomnienie, czy nędza?

U dyrektora Mont-de-Piété zjawiał się pewnego dnia radca miejski, dziś deputowany jednego z większych przedmieść, który został upoważniony przez jakąś miłosierną osobę, wrzuszoną tem, że tylu biedaków musi się pozbawiać owych obrączek, by za nie otrzymać kilka franków, do wykupienia wszystkich, i oddania ich właścicielom. „Lecz panie radco,—odrzekł dyrektor,—czy panu wiadomo, ile się u nas znajduje obrączek i jaką wartość one przedstawiają?“ — „Nie, nie wiem, lecz osoba w której imieniu przychodzę, gotowa jest na ten cel poświęcić kilka tysięcy franków.“ — „Niestety! — odrzekł dyrektor,—mamy tu obrączek za 502,000 franków!“

Wrzuszający zamiar zacnej pani nie mógł się skutecznym wobec tej summy prawie bałecznej.

Ponieważ Mont-de-Piété przyjmuje wszystko w zastaw, można więc sobie łatwo wyzić, jakie olbrzymie przestrzenie zajmują magazyny, które dają schronienie tym tysiącom tysięcy przenajrozmaitszych przedmiotów. Nie każdemu dozwolony jest wstęp do tych miejsc, gdzie spoczywają w największym porządku, gotowe na każde zawezwanie właściciela: 1,200,000 przedmiotów przeróżnych, klejnotów i pakietów, zastawianych corocznie.

Dzięki niewyczerpanej uprzejmości szanownego dyrektora głównego Mont-de-Piété, p. Edmunda Duval, drzwi otworzyły się przed nami na oścież. A zatem prosimy za sobą po przez 15 kilometrów „ulic“ — dokładnie 14,699 m. 32 m. — tego olbrzymiego składu, schroniska dla wszystkich smutków, wszystkich nędz, a nieraz też złoczonego zbytku najwspanialszego żywota!

Na pierwszym piętrze znajduje się na wstępie wielka sala, poprzecinana wężkami przejściami, w których tylko jeden człowiek zmieścić się może. Takich „uliczek“ jest tam ogromne mnóstwo, a na każdej stoją po obu stronach zakratowane przegródki, które sięgają do sufitu. A na wszystkich półkach

w tych wszystkich przegródkach: pudełka, i znów pudełka, ciągle pudełka! zapieczętowane czerwonym lakiem, z napisami, ponumerowane.

Tysiące, setki tysięcy małych pudełeczek, z których każde zawiera: zegarek, pierścionek, klejnot jakiś lub przedmiot drogocenny,—lecz nie przewyższający nigdy 1,000 franków. Jeżeli otaksowanie summe tę przekracza, wówczas pudełko zostaje zamknięte w skrzyni okutej w piwnicy tak nazwanej „czterech cyfr“ (cztery cyfry liczby 1,000).

Piwnica ta, mieszcząca się w suterenie, może być otwierana tylko w obecności dwóch osób, z których każda posiada klucz odmienny. Jedenaście olbrzymich skrzyń żelaznych opieczętowanych stoi w jej murach. W skrzyniach tych znajduje się również niezliczone mnóstwo małych pudełeczek, w których spoczywają garnitury wysadzone dyamentami, rubinami, szafirami, szmaragdami—klejnoty Nababa!

Przepyszne dzieła sztuki rzeźbione, z drogocennych metali, przedstawiają swoją delikatną architekturę, wyrobioną ze srebra lub złota. Znajdują się tu, jak nas objaśnia nasz cicerone, dyrektor tych składów, p. Aubin, przedmioty przedstawiające wartość 10-u milionów! „Piwnica czterech cyfr“ Mont-de-Piété bogacza, pilnowaną jest jak forteca; otacza ją podwójny kurytarz; niedostępną jest dla tych, którychby nęciła olbrzymia fortuna, jaką w sobie mieści, jak również dla szkodliwszego jeszcze nieprzyjaciela—pożaru. Tam to spoczywały klejnoty pani Humbertowej, zanim się rozpierzchnyły pod młotkiem taksatora i zanim poszły wzbogacić skarb bogatego jubilera rosyjskiego.

Najciekawszą, najbardziej tajemniczą storną Mont-de-Piété, jest niezawodnie uciekanie się do niego milionerów. Mylnem jest pojęcie, że ma on tylko biedaków w swojej klienteli. Drobny handel często się ucieka do jego usług w chwilach zastoju; jest to dla niego bankier najpewniejszy, najdyskretniejszy i najmniej kosztowny.

Kapitałisci znają również drogę do Mont-de-Piété. Oh! Są to mali kapitałisci, właściciele kilku obligacyi, których się nie chcą pozbywać i na które dostają pożyczkę. Wreszcie i bogaci idą „do Cioci.“ Świadkiem skromne a niepokojące pudełeczko, na którym widnieje nie cztery, lecz sześć cyfr: 130,000 franków! Czy to kolia, czy brosza, czy koleczyki, czy bransolety? może wszystko razem? Próżnobyście się o to pytali w Mont-de-Piété. Z chwilą przyłożenia pieczęci z czerwonego laku na czterech końcach sznureczków, którym pudełko obwiązane, nazwisko zastawiającego zamienia się w numer. To właśnie pudełeczko nosi numer: 005,478, dziewiątego oddziału. Procent roczny wynosi 9,000 franków.

Pożyczka ta nie jest jeszcze „najpiękniejszą“ z tych, któremi się pyszni Mont-de-Piété. Palma pierwszeństwa należy się pożyczce 445,000 franków! Bogaty dyadem, może korona? Pochodzenie tego zastawu osłonięte jest taką samą tajemnicą, jak i poprzedniego.

Jeden tylko byłby sposób przedarcia tej bolesnej tajemnicy. Oto trzeba by otworzyć i przejrzeć pewną księgę bardziej jeszcze ta-

jemniczą, w której zapisują nazwiska tych bogaczy fantastycznych, zastawiających klejnoty za setki tysięcy franków.

Mont-de-Piété ma rzeczywiście względy dla tych ubrylantowanych biedaków, którzy tańczą wieczorem oświetleni blaskiem żyrandoli, a nazajutrz z opróżnionym przez stroje lub grę woreczkiem, uciekają się do jego opieki. Przechodząc przez pokój dyrektora Mont-de-Piété, nie rzadko zminąć się można z interesantem lub interesantką, których dostatecznie zdradza strój, a często i widoczny niepokój i skrępowane ruchy. Bądźcie pewni, że ten interesant lub interesantka, chowa w kieszeni lub w zarękawku jaki kosztowny klejnot, który musi być zastawiony w tajemnicy bez hałasu. Wprowadzony do dyrektora interesant przedstawia swoją sprawę, powierza swoją tajemnicę, swoje nazwisko, które zostaje zapisane w sekretnym spisie naprzeciw pewnego numeru, i odtąd numer ten jedynie figurować będzie na papierach urzędowych.

Zauważono, i nikogo to pewnie nie zadziwi, iż miesiące terminowe wpływają na liczniejsze zastawy: miesiąc Styczeń wykazuje 115,767 przedmiotów zastawionych; Kwiecień 104,040, Lipiec 117,343, Październik 102,388; inne miesiące wahają się między 85 a 97,000, prócz Sierpnia, który przechodzi za setkę i sięga 109,119 zastawów. Lecz Sierpień jest miesiącem wakacji i ludzie rozłączają się na pewien czas z zegarkiem lub srebrem, by odetchnąć powiewem morskim, lub wciągnąć w płuca świeżość lasu i rzeki.

Przejdźmy teraz przez magazyny, gdzie są nagromadzone najrozmaitsze przedmioty, czasami dziwaczne, często nawet śmieszne. Minąwszy cały szereg bronzów, przedstawiających najrozmaitsze przedmioty, najrozmaitszej wartości artystycznej, znajdziemy się wobec grupy biustów. Napoleon,—czy nie zbyt czczone objaśnienie,—znajduje się tam w tysiącnych odmianach: popiersia, w całej postaci, maski pośmiertne, w stroju cesarskim, jako generał, w legendowym i sławnym kapeluszu trójkątnym. Króluje on na niezliczonych zegarach: z ręką pod surdudem, ze szpadą u boku, z okiem w dal utkwionem.. Tuż przy nim, nos w nos całe serye Republik, z czapką frygijską na głowie. Krüger sąsiaduje z Karakallą i Ludwikiem XVIII-ym. Postaci Joanny d'Arc nie do zliczenia! Oto kilka cyfr zapisanych na kartkach zastawowych: Krüger 30 franków, Napoleon od 5-ciu do 10-ciu franków! Wiktor Hugo 7 fr. Dwa olbrzymie zęby słoniowe, rzeźbione ręką nieudatną: 25 franków. Jakiś bogacz podupadły musiał je zastawić.

W jednym kącie cała wystawa artyleryjska: znajduje się tam jakie dwadzieścia armat, lawety z brązu, skrzynki amunicyjne w miniaturze. Trombon zawalający przejście 6 franków. Fortepian drzemający: 50 franków. Maszyny do pisania, fonografy, mandoliny, pistony, efiklejdy, rogi, flety. Erard: 350 franków. Setki maszynek do kawy, cukierniczek, filizanek do kawy i herbaty, waz, srebra dla całego regimentu tandeciarzy na wagę metalu. U góry bielizna, prześcieradła, serwety, ubranie, które napelniają powietrze zapachem wody Javela i łaźni. Meble i meble, do których można się dostać, wchodząc po scho-

dach mieszczących się w dawnej wieży Filipa-Augusta, gdyż zabudowania Mont-de-Piété Białych-Płaszczów zostały wzniesione na placach w obwodzie Paryża z XII-ego wieku.

(Dokończenie nastąpi).



Miliarderki.



Senora Cousino.

Pani Hetty Green, posiadająca majątek nieledwie stumilionowy, jest najbogatszą kobietą w Stanach Zjednoczonych, lecz najbogatszą w świecie niewiastą, królową milionów, może się słusznie nazwać senora Cousino z Chili, która tych milionów ma pono około trzystu. Stanowi ona zupełną antytezę Hetty Green pod względem używania swego olbrzymiego majątku, jest bowiem po królewsku hojną, a raczej rozrzutną.

Senora Cousino, z domu panna Izydora Goyenechea licząca dzisiaj lat już pięćdziesiąt parę, jest jeszcze piękną brunetką hiszpańskiego typu, który pod wpływem wieku nie zmienia się tak bardzo w liniach, jak anglosaski. Owdowiawszy bardzo wcześnie, nie chciała ona nigdy zawrzeć powtórnych związków. Rodziny Cousino i Goyenechea należą do pierwszych, które osiadły w Chili po podbiciu tego kraju przez Hiszpanów. Posiadłości tych dwóch rodów są teraz połączone w rękę pani Cousino, a składają je ogromne kopalnie srebra, miedzi i węgla. Same kopalnie węgla dają 80,000 dolarów dochodu miesięcznego.

Santiago jest siedzibą tej królowej, która ma swoją flotę i całą armię dworaków. Ma tam również swój pałac, którego wspaniałości zbyt, kosztownych galerii obrazów i innych dzieł sztuki nie potrzeba opisywać chyba. Żeby czytelnik stworzył sobie pojęcie o wartości tego wszystkiego, powiem tylko, że podczas swego pobytu w Paryżu, senora Cousino zamówiła umeblowanie w jednym z najpiękniejszych we Francji magazynów tego rodzaju dając mu carte-blanche co do ceny i za same portiere zapłaciła 250,000 dolarów.

Miastu Santiago ofiarowała senora Cousino rozległy park, zajmujący 40 hektarów przestrzeni, oraz pole wyścigowe. Zamek jej—to cud prawdziwy; urządzony jest w stylu Ludwika XV-go i zdobi go mnóstwo obrazów, posągów, artystycznych sprzętów, rzadkich zabytków sztuki. Grunty należące doń ciągną się od bram Santiago do Kordylierów. Znaczną ich część zajmują winnice, które dostarczają wina, dużej części kraju. Prócz tego w posiadłości tej prowadzona jest na wielką skalę hodowla bydła; znajduje się tam również stajnia wyścigowa, z której konie czystej krwi angielskiej słyną daleko na okolicę. Senora Cousino niejednokrotnie wygrywała już po 100,000 dolarów w ciągu jednego dnia wyścigów.

Miasto Lota, liczące 6,000 mieszkańców, położone na południowym pobrzeżu Chili, należy do niej całkowicie. W pobliżu zaś Loty znajdują się ogromne kopalnie węgla pani

Cousino. Flota jej złożona z około dziesięciu parowców przewozi węgiel do rozmaitych portów Ameryki Południowej, z kąd przywozi wracając rudę miedzianą i srebrną, która w Lota zostaje przetapiana. I w tem mieście a raczej pod miastem posiada Senora Cousino pałac wspaniały nad zatoką, otoczony 100 hektarami ziemi.

Pani ta jest matką dwóch uroczych córek Pacyfilli i Izydory, którym jako dobra matka stara się dostarczać rozrywek w wielkim stylu, a że ma potemu środki i lubi blask, przepych i wesele, więc można sobie mniej więcej wyobrazić, jakie urządziła przyjęcia w swych bajecznie bogatych rezydencyach, i jak podejmuje swych gości. Gdy przed kilku laty flota Stanów Zjednoczonych zarzuciła kotwicę w Valparaizo, senora Cousino zaprosiła admirała Upshura i wszystkich oficerów do domu swego w Santiago; posłała po nich specjalny pociąg i gdy przybyli oświadczyła im, że mogą się rozporządzać w mieście, jak u siebie, ponieważ hotele, jadalnie, teatry i magazyny uprzedzone są zgóry, że wszelkie wydatki czynione przez oficerów amerykańskich poniesie pani Cousino. Dostarczyła też gościom swym pojazdów i koni. Czasami oddaje ona do dyspozycji gości swych całą wyspę i zawozi ich tam jednym z wielkich parowców swej floty. Tam zaproszeni znajdują najwymyślniejszy komfort i możność praktykowania najróżnorodniejszych sportów. Jedną z wycieczek morskich, zorganizowaną przez senorę Cousino dla jej przyjaciół i znajomych opisała lady Brassey, jedna z uczestniczek tej przejażdżki. Towarzystwo odplynęło na steamerze, urządzonym z największym przepychem i wiozącym prócz zaproszonych 50-ciu osób gospodyni i jej córek, wyborową orkiestrę. Szampana zabrano tyle, że można utworzyć z niego małą rzekę.

Statek zwiedził najpierw wyspę Robinzona Cruzoa, Juan Fernander a następnie dotarł aż do Ziemi Ognistej, gdzie wylądowano. Tam, przez kilka dni goście ucztowali, pili szampana, tańczyli w lasach dziewiczych, słowem cywilizacja robiła wszystko, byle dać dzikim krajom pojęcie o wyższości.

Ktoby pomyślał, że wszystkie te wspaniałości, bale, przyjęcia i uroczystości nie pozwalają pani Cousino zajmować się interesami, pomyliliby się bardzo. Przeciwnie, umie ona połączyć doskonale przyjemne z pożytecznym i wykazuje niepospolite zdolności w zarządzaniu swemi królewskimi dobrami i kopalniami. Żaden szczegół nie uchodzi jej uwagi. Miliarderka nie zaniedbuje żadnej sposobności, aby sobie przysporzyć dochodu, czego dowodem są składy rozmaitego rodzaju towarów, które założyła w mieście Lota. W sklepach tych zaopatrują się we wszystko robotnicy pracujący w jej kopalniach i w ten sposób płaca, jaką pobierają z powrotem odplywa do kassy senory Cousino.

Z listów do „Bluszczu.“



Lódź, w Grudniu.

Niema chyba miasta na świecie, w którym życie towarzyskie mniej było rozwiniętem, niż w Łodzi; niema chyba miejsca, do którego owo francuzkie przysłowie: „Każdy dla siebie, Bóg dla wszystkich,“ łatwiej przystosować się dało.

Lódź wzrastając, starała się nabyć wszystkie cechy kulturalne wielkich miast, to też szczyścić się może licznymi i pięknie urządzonymi instytucjami dobroczynnymi, a na punkcie rozlicznych, wspaniałych gmachów, koncertów, widowisk, wreszcie mody, której uroczę reprezentantki na ulicy i w teatrach podziwiać można, zrobiła wielki krok naprzód dąży coraz szybciej ku lepszemu.

Jednej atoli rzeczy przyswoić sobie dotąd nie zdołała — towarzyskości!

Muzyka, objajająca się o nasze uszy, po za swistem gwizdawk fabrycznych, owem *memento mori* pracy i trudu — jest narzekanie na brak zebrań, przyjęć, wieczorów, na brak wzajemnego uprzyjemniania sobie monotonii życia łódzkiego. Wobec tego nasuwają się pytania: czyja to wina, i wreszcie co należy przedsięwziąć, aby zaradzić złemu?... Głównym powodem, zdaniem mojem, utrudniającym normalne bywanie i zacieśnianie węzłów towarzyskich, są warunki samego miasta. Łódź, jak każde większe miasto fabryczne, kieruje się przede wszystkim hasłem pracy. Dla niej przemysł, dla niej są fabryki, interesa, sklepy, dla niej niebotyczne kominy i tumany dymu. Dla niej i jak to samo się rozumie, dla wynikającego z niej zysku, nie jeden przebywa w Łodzi i pcha ciężką taczka kłopotów, nie jeden, który wolałby życie swe spędzić w centrum kultury, jak np. w Warszawie.

Praca ta gorączkowa, nieunormowana, odbija się niekorzystnie na życiu mieszkańców; rozpoczyna się o świcie, kończy zaś bardzo późno. Mężczyzna pracujący przez dzień cały, wraca wieczorem wyczerpany do domu i jedynym jego pragnieniem jest spokój i wypoczynek.

Po za tem wielką przeszkodą dla życia towarzyskiego jest różnorodność mieszkańców naszego grodu. Z biegiem czasu nagromadziły się tu różne żywioły, które przywędrowały li tylko dla zysku, lub też przez igraszkę losu tu osiadły. Żywioły te składają się z wielu narodowości, które żyjąc obok siebie, nie łączą się jednakże, a duch kastowości chyba nigdzie się tak nie objawia, jak w Łodzi, potęgując jeszcze oddalenie danych sfer.

W innych miastach są pewne punkta zbornie, gdzie towarzystwo się zchodzi; widując się częściej, zaznajamia się łatwiej, zbliża się, porzuca nie jedne przesady, które z oddali wzrastają do olbrzymich rozmiarów. Czy w foyer teatru, gdzie podczas międzyaktów, na przechadzce zawiera się nie jedną znajomość, czy to w pięknych alejach parków miejskich, czy na koncertach, lub na „corso“ po za miastem.

Tego wszystkiego Łodzi brak. Piękny, podług najnowszych wymagań urządzony teatr, jest zawsze jeszcze mrzonką niedoścignioną, a spacer i parki łódzkie już chyba na zawsze pozostaną na papierze. Dla Łodzi wszystkim jest ulica, — ulica, która w każdym innym mieście staje się tylko niezbędną użytecznością mieszkańców. I to ulica ciasna, wązka — o ruchu miast azyatyckich, brudna i nieestetyczna.

Wszystkie te jednak braki nie byłyby jeszcze głównymi przeszkodami towarzyskości, gdyby nie specyficzna etyka tutejsza, zaszeptała na grunt łódzki przez masy napływo-

we, nie duch kastowości, przesady i brak znajomości form towarzyskich, form tych, które w każdym większym środowisku tak ważną odgrywają rolę — w Łodzi niema zupełnie, a jeżeli istnieją, to się ich tu nie przestrzega. Tu niema oznaczonej pory dla składania i przyjmowania wizyt, ztąd naraża się siebie na niepotrzebną stratę czasu, lub też otrzymuje się wizytę w porze zwykle niewłaściwej.

A cóż w tem trudnego, by trzymać się zwyczajów wszędzie i ogólnie przyjętych, że południe jest godziną dla odwiedzin, zwłaszcza ceremonialnych, że każda z pań ma swój dzień przyjęcia raz w tygodniu, o pewnej oznaczonej godzinie, że na wieczory i kolacje proszone przychodzi się punktualnie?..

U nas porą odwiedzin jest zwykle godzina wieczorna, najzupełniej nieodpowiednia i zakorzenił się brzydki zwyczaj zamawiania się przez telefon, co prawda wygodny, lecz o wiele ładniej i przyzwoiciej jest załatwiać takie rzeczy piśmiennie.

W każdym dużym mieście ludzie światowi, a jako tacy pragnący utrzymywać stosunki towarzyskie, prowadzą rubrykę wizyt do oddania i zaprosin dla swoich znajomych; rzecz ta upraszcza i normuje stosunki. Stroną etyczną, owym punktem ciężkości stosunków towarzyskich jest uprzejmość, chęć przypodobania się, ujęcia sobie ludzi, z którymi obcujemy.

We Francji przyjmuje się frazesem utartym, lecz grzecznym: „*Je suis enchanté de vous voir.*“ Tych słów parę mile na nas oddziaływa, choć w szczerość ich nie zawsze wierzymy. Szczerości zupełnej w ogóle w stosunkach z ludźmi wymagać nie można, — wystarczyć powinna świadomość, że mile nas widzą, że przyjmą nas z uprzejmym uśmiechem na ustach.

Prawdziwa towarzyskość powinna polegać, zarówno jak i małżeństwo, na wzajemnych ustępstwach i chęci przypodobania się; dopiero wówczas nabiera wartości i może się w całej pełni rozwinąć. Ale przede wszystkim omijajmy przysłowie: *Laissez aller, laissez faire*, zamiast tego nauczymy się wesołości, której w Łodzi tak bardzo brak, grzecznych uśmiechów, dobrego humoru, odłóżmy przesady, nie uważajmy na niskie podszepty zawiści, nie obawiajmy się opinii, która zwłaszcza u nas przybrała postać złośliwej i podstępnej hydry. Łódź bezsprzecznie jest zaporą dla życia towarzyskiego, a właśnie dlatego mieszkańcy jej pozbawieni uciech i przyjemności życiowych, wzajemnie sobie życie uprzyjemniać powinni.

4.



Kronika działalności kobiecej.



— Z Kassy samopomocy dla kobiet pracujących.

Sprawozdanie z posiedzeń zarządu za miesiąc ostatni stanowić może pełną otuchy zapowiedź przy rozpoczynającym się r. 1905-ym.

W ciągu Grudnia wypłacono 10-ciu uczestniczkom pożyczki na sumę ogólną rub. 169; udzielono porad lekarskich 38, w liczbie tej 4-m uczestniczkom leczącym się w domu; lekarstw wydano 43.

Sprzedano wyrobów uczestniczek Kassy za rub. 347 kop. 21. Członkini zarządu p. Kąsinowska, z urządzonej przez siebie „Czarnej kawy,“ po osobistem pokryciu wydatków na przyjęcie gości, złożyła na rzecz Kassy rs. 50, nadmienając, że Tow. Wioslarskie (w lokalu którego urządzona była „Czarna kawa“) nadało na ten cel rub. 25.

Wreszcie zarząd Kassy własnym kosztem urządził obiad wigilijny dla 24-ch samotnych

Cukry desserowe, Karmelki,
Owoce, Praliny, Marmolady
codziennie świeże

POLECA: *****
FABRYKA
Czekolady i Kakao

F. M. KORDZIŃSKI
Marszałkowska № 89. Filia: Nowy-Świat № 5.



Samofarbujące grzebienie

„FOR”

farbują włosy we wszelkie nie zmywające się kolory, a potem można je farbować i karbować. Grzebienie zupełnie nieszkodliwy. Przesyłka za zaliczeniem. Sztuka rb. 2 kop. 50.



J. FRANCUZ, Warszawa, Królewska 49.

Źródłem siły dla wszystkich osłabionych,

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozbawionych energii skutkiem przepracowania umysłowego lub fizycznego, jak również i dla tych, których choroby wyniszczające i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły odporności — jest

SANATOGEN BAUERA

zaszczycony świadectwami przeszło 2000 lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskim.
Wystrzegaj się bezwartościowych naśladownictw.
Broszury na żądanie wysyła bezpłatnie S. Karczewski,
ul. Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.

DLA OSZCZĘDNYCH PAŃ!

Otworzyłam Zakład Krawiecko-Reperacyjny. Najstaranniej przerabiam, reperuję, poprawiam suknie, źle skrojone okrycia, futra, krój francuski, piórę chemicznie, farbuję, przerabiam kapelusze.
„HELENA“, Marszałkowska 119, m. 8.

BIURO NAUCZYCIELSKIE „Z A Ł E S K I”

przeniesione z ul. Berga na ul. Mazowiecką № 3, tel. 4214; poleca: nauczycielki, nauczycieli, bony, sprowadza Francuzki z własnego biura w Paryżu.

GIMNASTYKA

wdzięku i układu dla młodych osób. W niedzielę lekcje tańca, Zakład Heleny Kuczalskiej Moniuszki 9.

NOWOŚĆ!

Wzory dziurkowane do haftu,

które każda z Czytelniczek naszych może posiadać zeszyt, składający się z 7-iu arkuszy i zawierający dziurkowane desenie wszystkich liter alfabetu, kilka odmian kwiatów i motyli stylizowanych, ząbki i ozdoby brzegów, całe desenie na małe serwetki, ramki stosowne na podarki i t. d. Cenę zeszytu wraz z proszkiem w dwóch kolorach (czarny na materiały jasne i jasny — na ciemne) oznaczyliśmy na kop. 50 wraz z przesyłką pocztową, (wykluczając zaliczenia pocztowe, za które pobieramy 10 kop. więcej).

Niezależnie od zeszytów, które mamy na składzie i od cen takowych, przyjmujemy również zamówienia, na które dostarczyć możemy w krótkim czasie wszelkich żądanych wzorów dziurkowanych na pasy na stół, serwetki, poduszki na kanapy, kołnierze, wyłogi, mankiety, całe suknie, monogramy, roboty point-lace i t. p. Do zamówienia dołączać należy wielkość żadanego deseni w centymetrach, jeżeli zaś idzie o suknię, lub o jej części składowe, prosimy o przysłanie formy papierowej, oraz dokładnego opisu rodzaju ozdoby i stylu (zakopiański, arabski, grecki, rococo, renaissance, gotyk, chińszczyzna, japońszczyzna, secesja i t. d., lub fantazyja).

Listy należy adresować do Administracji „Bluszczu“ Nowy Świat 41, w Warszawie.

- Co niedziela : Dodatek świąteczny ilustrowany
- Co poniedziałek : Tygodnik informacyjny dla ziemian
- Co wtorek : Tygodnik korespondencji prowincjonalnych
- Co środa : Tygodnik literacko-bibliograficzny
- Co czwartek : Tygodnik popularno-naukowy
- Co piątek : Tygodnik gospodarstwa domowego
- Co sobota : Tygodnik inform. handlowo-przemysłowy

otrzymują wszyscy prenumeratorzy

GOŃCA PORANNEGO i WIECZORNEGO

- 2 razy dziennie najświeższe telegramy i wiadomości
- 2 razy dziennie wysyłka pocztą na prowincję

stał się w ciągu pierwszego roku istnienia najpoczytniejszym i najbardziej rozpo-
wszechnionem pismem codziennem polskim.

Nadzwyczaj przystępne warunki prenumeraty.

w Warszawie:
Rocznie rb. 6 kop. —
Półrocznie rb. 3 kop. —
Kwartalnie rb. 1 kop. 50
Miesięcznie rb. — kop. 50
Za odnośnienie do domu mies. kop. 15.

z przesyłką pocztową:
Rocznie rb. 7 kop. —
Półrocznie rb. 3 kop. 50
Kwartalnie rb. 1 kop. 75
Miesięcznie rb. — kop. 60
Za granicą miesięcznie . rb. 1 kop. 50

Nagrodzona wieloma medalami złotymi oraz krzyżem legji honorowej.

„AQUILLA”

tanie wyborowe Czeskie pastylki likierowe w 16 gatunkach, sprzedają składy aptecz. w Warszawie: Ludwik Spiess i Syn pl. Teatr. Marszałk. Miodowa, Wacł. i Leon Różyccy Krak. Przed. i Marszał. S. Wyrzykowski, Świętokrzysz. 26, J. Szczygłowski i S-ka Jerozolimska 29. Em. Skomorowski Długa 29 i inne, oraz wszystkie składy apteczne na prowincji.

INFORMATOR

Portfelowy, astronomiczno-geograficzno-statystyczny, rachunkowy, szkolny i ogólno-adresowy z mapką Królestwa Polskiego, oraz Kalendarzykiem, wyszedł świeżo z druku nakładem autora **Plato v. Reussnera** w II-jej edycji. — Ta małeńka broszurka, obejmująca 128 stron nie najdrobniejszego druku, w formacie 11 x 7 cm., dająca się wygodnie pomieścić w małym pugilaresie, może służyć wszystkim, a szczególnie młodzieży szkolnej za przewodnika i pomocnika nieocenionego. — Cena kop. 25. Czysty zysk przeznaczają autor na **wpis dla nie-zamożnych, a pilnych uczniów.** Główna sprzedaż w Księgarni J. Fiszer, Nowy-Świat № 9 w Warszawie.

Prasuję bieliznę męską bez szkodliwych dodatków. Warecka № 9 m. 8.

Wydawca: *Piotr Laskauer*. — Redaktor: *Maryan Gawalewicz*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Декабря 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

(Dokoń. opisów do Nr. 1).

№ 12. Kostyum wizytowy ze strojem wyszyciem sutaszem. (Patrz szkic b).
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 33-40).

Materyał: sukno w ciemnym, modnym kolorze. Przybranie: wyszycie sutaszem w tonie sukna i aksamit (*velours mousseline*) w tonie ciemniejszym. Dół spódnicy zakończy szeroki pas aksamitu. Wyszycie pokrywa w części aksamit i wysoko wznosi się ponad nim. Gładko na fiszbinach obciągnięty staniczek przybiera szalowy, zdobny wyszyciem kołnierz, rozchylony nieco na podłożeniu z aksamitu. Udrapowany pas aksamitu, przeciągnięty przez plecy, chowa się pod kołnierzem. Bufiaste rękawy do łokcia, zakończy podwójna, kolistą falbanka, naszyta sutaszem i wążki rękawek z aksamitu.

№ 13. Ubranie z chusteczkową bluzką i faldowaną spódnicą dla osoby starszej.

Ubranie z miękkiego, niezbyt ciężkiego, wełnianego materyału, składa się ze spódnicy, wykończonej na oddzielnym spodzie, zastębnowanej w zakładki, stopniowo wznoszące się ku tyłowi i z luźnej bluzki, skrzyżowanej na przodzie i wykończonej szalowem wyłożeniem. Przody bluzki zastębnowane w faldki podłużne, te zaś w odstępach w poprzeczne. Szerokie rękawy, od ramienia zastębnowane w zakładki podłużne, od wewnętrznej strony w poprzeczne, zakończone odwiniętym mankietem z materyału i obcisłym z aksamitu w punkty. Napierśnik z takiegoż aksamitu, żabot z batystu i koronki.

№ 15. Zreformowana spódnica z krótkim stanikiem do odmiennych bluzek.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 129-233).

W około równa, na biodrach zwężona spódnica z ciemnego, wełnianego materyału, wykończona na podszewce, razem z krótkim stanikiem, do którego jest wszyta, zapięta z boku. Stanik właściwie zastępuje rodzaj szelek i doskonale przytrzymuje bluzkę, która do takiej sukni może być równie dobrze jedwabna, jak i z materyału do prania. Suknię przybiera łatwa aplikacja z aksamitu w ciemniejszym tonie, podłożona wypustką z jasnej materyi.

№ 19. Bluzka z aksamitu w kratę.

Bluzkę, złożoną z przodu w kontrafaldy i zastębnowaną od ramion w drobne zakładeczki, przybierają wypustki z jasnej, odpowiedniej do krat materyi. Wypustki otaczają oryginalnie wykrojone naramienniki, założenie na stojącym kołnierzku i na wysokich, wążkich mankietach. Bluzka wykończona na dobrze dopasowanej podszewce.

№ 20. Sukienka dla dziewczynki od 2-3 lat.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 116-122).

Sukienka z granatowej wełny i szkockiego, cienkiego kaszmiru składa się z krótkiej spódniczki i z długiej bluzy, połączonych stanikiem z podszewki i zapiętych z tyłu. Bluzka ułożona w kontrafaldy, przytrzymane od góry patkami umocowanymi guziczkami, które w połączeniu z wstawionymi pliskami w kratę tworzą karczek. Mankietek przy bufiastym, namarszczonym rękawku. Przybrany odpowiednio. Szarfa z kaszmiru w kratę

związana na połączeniu spódniczki z bluzką, ślicznie przybiera sukienkę.

№ 21. Domowa suknia z bluzką.

Suknia z niezbyt ciężkiej wełny, w dowolnym kolorze, składa się z marszczonej spódnicy, zakończonej marszczoną wysoką falbaną i z bluzki, wszytej w wymarszczony karczek, ścięty w żab z przodu i na plecach zębato schodzący na ramiona. Karczek dopełnia, odpowiedniej formy małe karczki z haftu i haftowany, stojący kołnierz. Rękawy marszczone w łokciu, podwinęte poniżej, zakończy haftowany mankiet. Wszystkie marszczenia naszyte są wążkim, haftowanym szlaczkiem.

№ 22. Flanelowa sukienka dla małego dziecka.
(Krój odw. str. tabl. Fig. 104-107).

Prostą, marszczoną sukienkę z jasnej flaneli w rzucik, zakończy marszczoną falbanka, zastębnowana w kilka zakładeczek. Okrągły karczek z drobnych, haftowanych wstawek otacza falbanka z tyłu.



№ 1. Bluzka jedwabna wizytowa, do teatru i t. p. (Patrz ryc. a). (Krój pierw. str. tabl. Fig. 41-46).



№ 4. Suknia zreformowana z kaftanikiem.



№ 2. Czarna koronkowa suknia, na wesela, wizyty i t. p.

№ 3. Suknia wizytowa z materyi, przybrana aksamitką i koronkową wstawką.



Szkic a do ryc. 1.



№ 6. Kostium spacerowy lub wizytowy z wciętym paltocikiem.

tego stanika, zapinaną z przodu, pokrywa gładko atlas i namarszczony chiffon. Kaftanik, wycięty u dołu w zęby oszyte pikotkowym brzeżkiem, otacza w górze koronkowa falbana, zwężona z tyłu i przy rozwartych przodach, zakończonych kokardami rozetowymi z końcami. Srebrne guziczki zdobią kokardy. Rękawy bez podszewki wąskie, przy rękę w zęby, zakończone pikotkowym brzeżkiem. Pasek faldowany, z czarnej atlasowej wstążki, spięty srebrną klamrą.

Potrzeba: materiału koronkowego 1,20 mtr. szer. 5 mtr., węższej koronki 3 mtr., szerszej 2 1/2 mtr. Pikotkowego brzeżku 6 mtr. Czarnej atlasowej wstążki 6 cent. szer. 4 mtr., na pasek 20 cent. szer. 70 cent. Tuzin srebrnych guziczków i klamrę srebrną.

№ 3. Suknia wizytowa z materyi, przybrana aksamitką i koronkową wstawką.

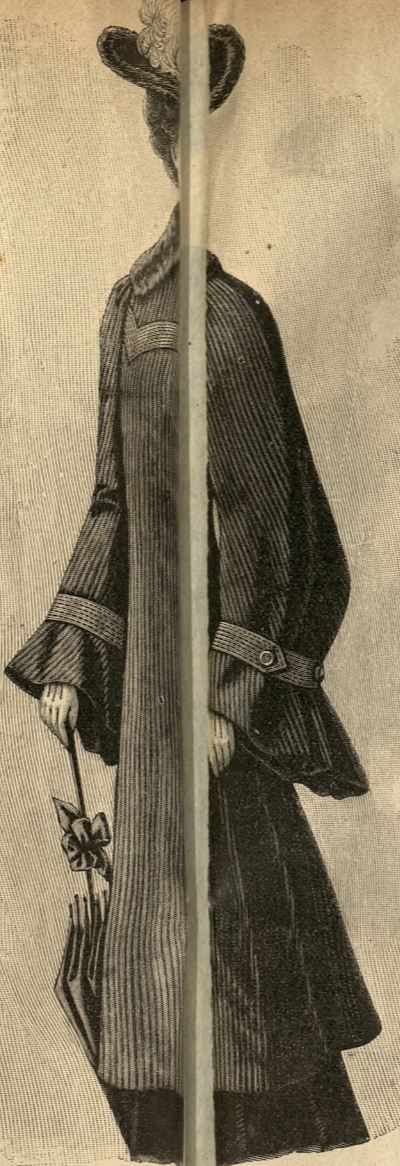
Suknia z materyi koloru tabac gładka w górze, znacznie rozszerzona w dole i przybrana naszytym w duże zęby, ze wstawki ćuru, otoczony aksamitką koloru sukni. Bluzka lekko wyrzucona, otwarta z przodu na białej, marszczoną jedwabną kamizelce z karczkiem ze wstawek i aksamitek, bez kołnierzyka. Otwarte przody, naszyte aksamitką z patkami. Patki i kokarda jak zakończenie karczka przymocowane ozdobnymi guziczkami. Rękawy bufiaste z mankietami, pokrytymi koronką ćuru, oszytymi u ręki aksamitką. Pasek wąski z tyłu, szerszy z przodu, ułożony z aksamitek i wstawki, na fiszbinach, zapinany z boku. Można w razie potrzeby usunąć karczek i mankiety rękawów, a suknię będzie wycięta i strojnieszca.



№ 7. Suknia aksamitna z faldowaną spódnicą i bluzką.

№ 4. Suknia reformowana z kaftanikiem.

Suknia z wełny koloru taupe w biały rzucik, przybrana sukmem gładkiem tegoż koloru i stalowemi matowemi guziczkami. Suknia suto namarszczona zapinana z boku, na oddzielnej podszewce, z odciętą kolistą falbaną, naszytą w dole i przymocowaną sukniennymi plisami, wycinanymi w okragłe zęby. Suknia przymocowana do krótkiego staniczka z podszewki, pokrytego kaftanikiem w górze i w dole marszczonym. Kaftanik przedłużony w przodach otacza plisą suknienną, ukrajana po-



№ 5. Okrycie zimowe z aksamitu. (Patrz ryc. 6).

Kostiumy z sukna przybrany karakułami, szarym sznurem i kraczkami z tegoż sznura. Paltocik do figury, na jedwabnej podszewce z przodami i plecami kraczkami z części, które w dole tworzą kryte faldy. Szalowy kołnierz barankowy, przedłużony, pokrywa zapięcie pal ocka na haftki. Oryginalny rękaw wykonaw w ten sposób, aby podszewkę rękawa od ręki powyżej łokcia pokryć sukmem, przybrać u ręki cokolwiek rozszerzoną plisą aksamitną, barankami i sznurem. Powyżej łokcia naszyć dwoma lejkowatymi częściami, na które spada wierzchni, rozszerzony rękaw. Spódnica z 7-ju części z 30 cent. wysokości, krytymi faldami w szwach.

Potrzeba: materiału 7 mtr. sukna podw. szer., 1 mtr. barankowego oszycia 8 cent. szerokiego, 3/4 mtr. aksamitu, 5 mtr. jedwabnego sznura 5 mtr. jedwabnej podszewki.

№ 7. Suknia aksamitna z faldowaną spódnicą i z bluzką.

Biały atlas, koronkowa aplikacja, koronka i guziki zdobią suknię z aksamitu „Liberty” w modnym kolorze. Szeroka, kolisto kraja spódnica z wąskim, gładkim przodem, cała suto w górze marszczona. Prządki ozdobi aplikacja z kół i trójkątów, stopniowo powiększonych. Bluzka lekko wyrzucona; przody ułożone w dwie duże faldy. Kamizelkę tworzą szerokie, białe, atlasowe plisy. Napiersnik z ukośnego, poprzecznie marszczonego aksamitu. Na gładkich plecach nałożone skrzyżowane plisy, przedłużają plisy przodów, tworząc z tyłu poza stanem rodzaj fraczka. Ukośny, marszczony pasek, przy fraczkach przymocowany ozdobnymi guziczkami, z metalową klamrą z przodu. N. wąskie rękawy z poprzecznie marszczonego aksamitu, spada pódługa bufa, ujęta w aksamitną plisę przybrana aplikacją z falbaną z grubej koronki.

Kapelusz „marquis” z filcu miękkiego, w kolorze sukni, zdobią rozety z jasnego, złoto brązowego aksa-



№ 10. Kostium z sukna w zakładki przybrany guziczkami.



№ 11. Praktyczny spacerowy kostium z luźnym paltocikiem. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 47-60).

szewki plisowana z przodu, z tyłu ułożona w podwójne kontrafaldy stebnowane do połowy wysokości. Potrzeba: materiału 5 1/2 mtr. wełny w kratę podw. szer., 3/4 mtr. aksamitu, 10 cent. białego sukna, 25 mtr. sutaszu, 6 mtr. srebrnego sutaszu, 24 guziczki.

Obiad na Niedzielę.

Rosół rumiany z pasztecikami w naleśnikach.
Ryba zapiekana *au gratin*.
Roastbeef z kartofelkami przysmażanymi i brukselką.
Kalafior z masłem.
Indyk z truflami.
Kompoty, sałata.
Krem z owocami i koniakiem.

Rosół rumiany z pasztecikami w naleśnikach.
Cielęcina z beszamelem.
Gęś nadziewana jabłkami.
Bakalje.



Szkic e do ryc. 9.



Szkic d do ryc. 11.



№ 8. Kostium z kaftanikową bluzką i faldowaną spódnicą. (Krój odw. str. tabl. Fig. 81-88).



№ 9. Praktyczna suknia z kaftanikiem i faldowaną spódnicą. (Patrz szkic c). (Krój odw. str. tabl. Fig. 73-80).

mitu i 2 strusie pióra w kolorze filcu. Potrzeba: materiału 14 mtr. aksamitu, 21 okragłych, 44 trójkątnych aplikacji, 50 cent. atlasu, 1 1/2 mtr. koronki, 2 guziki.

№ 8. Kostium z kaftanikową bluzką i faldowaną spódnicą. (Krój odw. str. tabl. Fig. 81-88).

Kostium brązowy suknienny z kaftanikową bluzką otwartą w górze do szmizetek. Biała suknienna kamizelczka zapinana na złote guziczki i przybranie z sealskinu lub aksamitu zdobia kaftanik. Rękaw bufiasty, mankiety z futra lub aksamitu z przybraniem z białego sukna. Pasek z brązowej wstążki „Liberty”, ze złotą klamrą. Spódnica z trzech części suto faldowana.

№ 9. Praktyczna suknia z kaftanikiem i faldowaną spódnicą. (Patrz szkic c). (Krój odw. str. tabl. Fig. 73-80).

Suknię z granatowej wełny w zieloną kratę, przybiera szafirowy aksamit, tegoż koloru sutasz, srebrny sznur i guziczki. Wycięcie szyi i brzegi mankietów otacza pliska z białego sukna nazwana „sutaszem”. Aksamitny kołnier, pasek i mankiety haftowane srebrem, oraz białym i granatowym jedwabiem. Spódnica bez pod-

Wzory ubiorów i robót do Nr. 2.

№ 1. Bluzka jedwabna wizytowa, do teatru i t. p. (Patrz ryc. a). (Krój pierw. str. tabl. Fig. 41-46).

Bluzka z ciemno złotej materyi wykończona na podszewce. Prządki i tył wycięte w zęby. Szmizetka z matowo żółtej koronki, podłożone białym chiffonem. Karczek z odpowiedniej koronkowej wstawki 4 cent. szer., zaokrąglonej i zakokończonj w górnym brzegu dwoma ozdobnymi guziczkami i żabotem z koronki 14 cent. szer. Wstawka i kokarda z wstążki zdobia bufiaste rękawy z falbanami z chiffon i koronki. Zakoczenie bluzki stanowi ukośny pasek 20 cent. szer. na fiszbinach, spięty z tyłu kokardą.

№ 2. Czarna koronkowa suknia na wesela wizyty i t. p.

Spódnicę z niebieskiego atlasu pokrytą tegoż koloru chiffonem, okrągło w górze podciętą, gładką na biodrach, w dole rozszerzoną do 4-ch metrów obwodu, pokrywa czarna koronka. Dół spódnicy zastosowanej do zębów



Szkic b do ryc. 5.

